GŁOS NARODU

L. 3021/902
L. S. A.

Ogłoszenie.

C. k. kierownictwo budowy dla linii kolejowej Lwów-Sambor-granica węgierska we Lwowie rozpisuje dostawę progów kolejowych dla szlaku Sambor-granica węgierska tejże linii z terminem wnoszenia ofert do 20-go Stycznia 1903, 12-tej godziny w południe.

Zwracając uwagę interesowanych na odnośne ogłoszenia w organach urzędowych „Wiener Zeitung“ i „Gazeta Lwowska“ z dni 22, 23 i 24 bm., nadmienia się, że bliższych szczegółów co do rozpisanej dostawy udziela c. k. kierownictwo budowy we Lwowie, ulica Batorego L. 12/14, gdzie są także do nabycia formularze na oferty, ogólne i szczegółowe warunki dostawy, jak również szkice informacyjne co do topograficznego położenia miejsc składowych, na które progi dostawione być mają.

C. k. Kierownictwo budowy
dla linii kolejowej Lwów-Sambor-granica węgierska.

(Przeruk nie będzie płacony.) 6286 3 3

GŁOS NARODU



Przedpłata.
na „Głos Narodu" wynosi: w Krakowie: miesięcznie kor. 2·—. Za odnoszenie do mieszkania dopłaca się 40 hal. miesięcznie.

Adres Redakcji i Administracji: róg ul. św. Krzyża i Mikołajskiej l. 7.

Telefon Nr. 190.

Przedpłata.
na „Głos Narodu" wynosi na prowincji: miesięcznie kor. 2.70. W państwie niemieckiem kwartalnie: 10 koron. W innych państwach kwartalnie koron 12·—.

Numer pojedynczy zwykły 6 hal

Numer niedzielny ilustrowany 16 h.

ODGŁOSY WIGILIJNE.

Nr. 308 **Kraków. Środa dnia 24 Grudnia 1902.** **Rok X.**

Treść Numeru.

Moc truchleje!...

Nadeszła wielka chwila...

Przez zbutwiały stary świat pogańsko-żydowski przeszedł potężny ożywczy prąd odrodzenia. Bóg się rodzi! Bóg wszystkich maluczkich i uciśnionych, Bóg jęczących w niedoli i Bóg prawych. Króle idą mu oddawać pokłon, gwiazda Boża ich wiedzie. »Bóg się rodzi — moc truchleje!« truchleje wszelka moc zła i nienawiści, bo oto z Betleem rozchodzi się nowina o Królu dziwnym, który do świata całego zawoła: »Pójdźcie do mnie wszyscy, którzyście obciążeni!...

Więc rozpoczęła się walka, która trwa bez przerwy do dzisiejszego dnia. Bo w każdym człowieku pozostało przecie coś z tej mocy, która struchlała na wieść betleemską, pozostał pierwiastek zła, z którym walczyć musi. I ten pierwiastek jest spadkobiercą owej pogańskiej, czy żydowskiej mocy, która Chrystusa biczowanego powiodła na krzyż.

W dziejowej kolei przemian, pogaństwo ludzkie przybrało w jednostkach i organizmach zbiorowych zmienione formy, ale treść jego pozostała. Zmienił się zewnętrzny kształt poganizmu, pozostały nowe objawy życia, na których człowiek praktykuje swoje pogaństwo... ale »moc« trwa.

Trwa więc do dziś dnia żydowski pogląd materjalistyczny, trwa kult mamony, panuje królestwo złotego cielca, które najbardziej truchlało na wieść betleemską.

Żyje i druga moc, która w tę wielką chwilę struchlała i wszystkie swe siły sprzęgła, by Syna Bożego rozbić na krzyżu i unicestwić, — żyje i sieje swoje straszne zniszczenia: przemoc silniejszego nad słabszym — i ta moc wraz z materjalizmem stanowią rdzeń rozpaczliwej zgnilizny, w której się miota człowiek na ziemi.

I jak przed dwudziestoma wiekami te same moce pędziły Chrystusa na Golgotę, tak samo dzisiaj jednoczą wszystką siłę, aby urągać świętej idei Chrystusowej i nie dopuści do jej panowania.

Ale tak samo, jak ongi Chrystus nie umarł na krzyżu żydowskim, ale Niezmienny, Niepokonany wstał, by wieść ludzkie zastępy ku jasności, tak dziś wierzymy w to i wierzyć nie przestaniemy w odmęcie zła, w odmęcie rozpaczliwej przemocy materjalnej siły złota i żelaza, że duch ludzki zerwać musi okowy ciemności i syn Chrystusowy zwyciężyć musi!

A my Polacy w tej niezachwianej wierze czerpiemy całą otuchę i wszystkie nasze nadzieje. Ulegliśmy okrutnej i zuchwałej przemocy, i nad żywem ciałem naszego narodu pastwią się dziś mocarze, którzy przybrawszy zewnętrzne formy chrześcijańskie, hołują wszystkim pogańskim zdrożnościom. Ufni w swą materjalną siłę, wrogowie nasi napawają się potokami krwi naszej, tuczą potem naszym, mącą i zatruwają ducha naszego, ale czuwa wiekuista Sprawiedliwość i truchleją bezbożne potęgi, bo każda rocznica świętej pamiątki jest dla nich zapowiedzią sądu i kary.



MADONNA MURILLA.

Byli już przed nimi więksi, potężniejsi i dumniejsi, którzy przewodzili olbrzymim państwom, a opierali swoje panowanie na krzywdzie, rozpuście i przemocy. I cóż z nich zostało? Gdzie dziś pogańska Roma, która rządziła światem? Gdzie złoty tron Cezarów? Nabuchodonozorowie i Faraoni, którzy którzy uważali się za bogów? Wszystko przeszło, tylko Duch Boży nie przeminie nigdy.

I dlatego na hasło »Bóg się rodzi«, wołajmy pełni ufności i wiary »sursum corda!« W górę serca!

Chrystus na ziemi.

Na padoł ziemi, kędy lud cały
Wśród ciemnych błądził dróg,
Strumienie światła nagle się zlały, —
Zstąpił Dziecina—Bóg! —

Z przeczystej Boga-Rodzicy łona
Wziął Jezus ciało swe;
Za Jego wolą moc piekła kona
I znika wszystko złe.

Nędzą odziany, w stajence leży,
W dolinie, pośród gór. —
Między pasących trzody pasterzy
Aniołów zleciał chór!

Chwała na niebie, chwała na ziemi! —
Między lud zstąpił Pan! —
Mieszka Przedwieczny między grzesznymi
I równa wszelki stan!

Arcy-kapłani, Pisma Doktorzy
Poznają Słowa moc. —
Promienie jasne wstającej zorzy,
Burzą przesądów noc.

Chrystus na wiecznej Prawdy opoce
Buduje Kościół swój; —
Nie zmogą Go szatańskie moce,
Ni zwątpień ludzkich rój! —

Na nędzę ludzką zlewa łask zdroje, —
Za Pokarm — służy sam. —
Na skrzydłach cnoty płyną dusz roje
Do Bożych mieszkań bram!

Stanisław Czyżewicz.

Niepokój.

Mam chorą, małą, kapryśną luteńkę... Łka w niej [wciąż płacz dziecka stłumiony,
Boleśniejszy nad zziębłych drzew aleje i smutne [widy a majaki
Sierocych, umarłych od wieków tłumów... i wciąż [ten monotonny, jednaki
Jęk skrzywdzonego dziecka... przez łzy chcę się [śmiać... więc w królewskie korony,

W purpury odziewam swe ciało... słyszysz? pła- [cze... skryję się w kościoły...
Tak... ukryję duszę w kamienne dogmatów, mo- [dlitw i ornatów maski,
Przed oczyma zawieszę litanje, witraże, święte, [złocone obrazki...
Modlę się głośno... krzyczę... daremnie... słyszysz? [struny płaczą... hej! będę wesoły!

Biegnę i łkającą lutnię topię na zapomnianej, le- [śnej studni dnach...
Potem uciekam... biegnę daleko przez wieki... i [z oddalenia stuleci,
Ukryty wśród pięknych, miłością pijanych, postaci dziewiczych.

Słucham, czy z pod patyny czasu nie płynie [dzwonienie jęków tajemniczych...
Od zatopionej dawno lutni mej... cicho... jakieś [westchnienia... boję się... w łzach
Coś błyska... idzie... słyszysz? cicho śpiewa o [łzach bladych, pokrzywdzonych dzieci.

Jan Wroczyński.

JERZY ŻUŁAWSKI.

Sceny z dramatu „Dyktator“

z aktu I.

Pokój na plebanji w Małogoszczy. Troje drzwi: główne w głębi, szerokie, otwierające się na rynek, i dwoje bocznych: na lewo bliżej widza i na prawo, mniej więcej w środku ściany. Okno jedno, na lewo, dalej niż drzwi. Między oknem a drzwiami proste biurko, tak ustawione, że siedzący przed nim jest tyłem obrócony do widza a lewą stroną do okna. Dalej w rogu duża, skórą kryta kanapa, przed nią stół. Na prawo w głębi szafa kredensowa, staroświecka, z opuszczającą się klapą: bliżej widza klęcznik pod dużym krzyżem na ścianie. Na środku duży stół, koło niego i pod ścianami, gdzie jest miejsce, stoją stołki. Na ścianach obrazy, koło drzwi na lewo zegar. W piecu, stojącym koło drzwi po prawej, pali się ogień. Jest już po południu; zachodzące słońce pada przez okno.

Później, za otwarciem drzwi w głębi, ukazuje się widok na rynek. A więc nad drzwiami wystający okap na dwóch słupkach, tworzy rodzaj podcienia. W dali widno rząd niskich, drewnianych domów, — w niektórych sklepy. Nieco na lewo, u wylotu ulicy, duża studnia: na prawo widać zrąb dzwonnicy i parę lip, stojących przed kościołem.

Rzecz dzieje się 21 lutego, — jest odwilż, śnieg leży tylko miejscami, tworząc białe płaty.

Scena I.

Proboszcz, Hela, Gospodyni, Józek.

PROBOSZCZ (do krzątającego się Józka i dziewczyny). Tak, drzwi otworzyć...
(Otwierają drzwi w głębi na rozścież, — widno przez nie, jak na rynku krzątają się ludzie, ustawiają przed domami stoły i przygotowują na nich jadło).
HELA: Ja już nie potrzebna
stryjowi? PROB.: Nie już... A ubierz się ładnie,
przed generałem stanąć ci wypadnie,
Cóż to za fartuch? jakaś płachta zgrzebna!
HELA: (usuwa gospodarski fartuch): To zdejmę
przecież! PROB.: (do służby): Teraz stół, ten
większy,
wynieść, tak, dobrze... (Służba wynosi stół ze środka izby przed dom, pod lipy, a na jego miejsce stawia mniejszy z przed kanapy).
GOSPODYNI: (w progu): Jegomość, jedlinę
przyniósł tu dzwonnik... PROB.: Dawać! DZWONNIK: (wnosi pęk jedliny i wychodzi): Tak
się krzynę
dom na przyjęcie gości wnet upiększy...
HELA: Pan Janusz pewno będzie też przy sztabie.
PROB.: (roztargniony): A pewno, pewno! (do Józka): A pójdże tu, drabie!
HELA: (zła, że proboszcz na słowa jej nie zważa):
Bieda z tym stryjem! (wychodzi na lewo).
PROB.: (do gospodyni): Hej! moja acani!
niech te kiełbasy i chleby z śpiżarni
przed dom wyniosą... (do Józka): Ty mi się ogarnij,
chodzisz, jak smoluch! — Hej! wojsko, ułani!
wodze! — Gdzie idziesz? czekaj tu, urwisie!
JÓZEK: Dyć mam się przebrać! GOSP.: To ja
już odchodzę...
PROB.: Zaraz... (do Józka): Tu czekaj! — (patrzy na zegar): Oni tam już w drodze
zapewne... (do gospodyni): Jejmość! jest tam
miód na misie,
to wynieść także, będą mieć do chleba
trochę słodkości... (Gospodyni wychodzi; za chwilę widać ją, jak z dziewczyną ustawia jadło na stole przed domem). PROB.: (do Józka):
Te chojaki trzeba
przybić po kątach... Niech im dom ubogi
pachnie borami. Mój Boże! w te progi
przyjdą wodzowie! przyjdzie wojsko nasze
jak te jaskółki pod ciche poddasze
księdza... Mój Boże!

Scena II.

Probosz i Mieszczanie.

I. MIESZCZANIN: (zagląda przez drzwi do wnętrza i kłania się): Dobre południe!
PROB.: Dobre, Marcinie, dobre. kiedy gości
mamy mieć takich... I. MIESZCZ.: (zagląda): Ho!
u jegomości
w izbach tak strojno, zielono, aż cudnie!
GŁOS na rynku męski: Antek! a lećże do pani
co żywo,
na! masz tu klucze, niech tam wyda piwo!
PROB.: (który słyszał, ale nie rozumiał słów):
Co to? już idą? II. MIESZCZ.: (podchodzi):
E, to Majcher woła
chłopaka. Wszystko krząta się dokoła...
PROB.: Ano, jenerał będzie, sztab i oficery,
toż to nie fraszki... DZWONNIK: (przez drzwi):
To ja na dzwonnicę
idę wyzierać... PROB.: Idź, — a jak w ulicę
wejdą, to walić! (robi ruch, jakby ciągnął za sznur): DZWONNIK: (kiwa głową i odchodzi).
I. MIESZCZ.: Ja sam stoły cztery
przed sklep kazałem wynieść, bo to pono
głodne... II. MIESZCZ.: obdarte pono, mówią
ludzie!
że aż strach patrzyć... PROB.: Nasze bohatery,
rycerze nasi! KOBIETA: (przystępuje): Chudziątka! I. MIESZCZ.: Po grudzie,
po śniegu idą.. KOBIETA: Tak im już sądzono.
oj Boże. Boże! II. MIESZCZ.: Ścigani... JÓZEK:
(od roboty): Obrazy
czy też umaić? PROB.: (przytakuje głową): II.
II. MIESZCZ.: szczuci... I. MIESZCZ.: Tyle
razy krew się już lała... II. MIESZCZ.: chłodno
im i mroczno...
KOBIETA: Mój syn tam z nimi... I. MIESZCZ:
Moich dwóch.. PROB.: Wypoczną
u nas, pokrzepią i zdrowie i siły,
a kiedy dźwigną ojczyznę z mogiły...
I. MIESZCZ: O Jezu! dożyć tej chwili, a potem
w grób się położyć! PROB.: Albo żyć we zło-
tem
słońcu wolności! II. MIESZCZ.: Byle nasi górą
byli... PROB.: Da Pan Bóg! Taką noc ponurą
mieliśmy, bracia, długą noc i krwawą. —
Bóg się zlituje nad nami! Już jawą
nasz sen się staje, już nam wschodzi słońce!
Wzmogą się, wzmocnią wolności obrońce,
jako ten potok...! ja wam mówię, sługa
boży! Ponura była noc i długa
i taka ciężka... Ja już jestem stary, —
a codzień podczas najświętszej ofiary
tak się modlilem — za was i za siebie:
Panie! daj dożyć, zobaczyć na niebie
jutrznię wschodzącą! Bóg dobry, widzicie,
wysłuchał sługi... Ja stary, lecz skacze
w piersi mej serce na myśl, że obaczę
te nasze wojska, te nasze sztandary,
jasną wolności gwiazdę na błękicie...
Jezus Maryja! toż przecie ja stary
płaczę, jak dziecko... (ociera oczy chustką).
KOBIETA: Jegomość kochany,
niech ich najświętsza Panna ma w opiece.
niech im pomaga! JÓZEK: Umajone ściany
het, jak się patrzy! Teraz ino lecę
przybrać się trocha. (wybiega). I. MIESZCZ.: Tu
z pomocą Bożą
pewnie na dłuższy czas się już rozłożą,
tak jak w Wąchocku... (Do grupki rozmawiających przystępuje trzeci Mieszczanin).

Scena III.

Ci sami III. Mieszczanin.

III. MIESZCZ.: Wy tu Maciejowa?
a mąż was szuka (wskazuje): Stoi tam z Chomiem.
II. MIESZCZ.: Jak we Wąchocku... Wąchock
poszedł z dymem...
I. MIESZCZ.: Suchedniów także... KOBIETA:
I Staszów.. II. MIESZCZ.: Z Miechowa
zostały zgliszcza... III. MIESZCZ.: (do kobiety):
Słyszycie sąsiadko,
co wam powiadam? KOBIETA: Czegóż mu to trzeba?
III. MIESZCZ.: Ja nie wiem. — pono chciał
na stoły chleba...
KOBIETA: Idę... I. MIESZCZ.: Niech Bóg nas
chroni przed zagładą...
Zresztą — wziął djabeł krowę, niech i ciele
bierze... KOBIETA: Mój ojcze! (całuje Proboszcza w rękę i odchodzi).

Scena IV.

Ci sami oprócz kobiety.

PROB.: Wam straszno Moskali,
że to i nasze strzechy wróg zapali,
jeśli im damy przytułek? I. MIESZCZ.: W popiele
niech wszystko ginie! Ktoby o swej strzesze
myślał, gdy kraj się pali! My stracili
wolność — cóż domy znaczą? PROB.: Moi mili.
I. MIESZCZ.: Za wolność chętnie je damy.
więcej
dają, co krew tam leją... PROB.: To się cieszę,
że tak mówicie... II. MIESZCZ.: Wczemże nasze dachy
gorsze od tamtych, Staszowskich? Ofiara
i z nich być może wśród ofiar tysięcy,
co od kul giną. Wszak to nasza wiara,
to krew jest nasza, te chłopcy. I. MIESZCZ.:



BOŻE NARODZENIE NA RUSI.

A strachy
mogą być próżne... PROB.: Bóg łaskaw...
III. MIESZCZ.: No, juści,
przyjdą tu do nas... Łotr ten, kto opuści
swoich w potrzebie. Ja im dobrze życzę,
pewnie, choć nie wiem, czy tam te panicze
obrachowali wszystko dobrze w głowie,
nim rozpoczęli tę wojnę... I. MIESZCZ.: Sąsiedzie,
aże wstyd słuchać! III. MIESZCZ.: Ja ich pewno w biedzie
w las nie wygonię z proga. Nikt nie powie,
żeby tak było. Toć i moja strzecha
pośrodku waszych — wróg jej nie pociecha
w razie nieszczęścia. Nie, ja się nie boję
ni o dobytek, ni o życie swoje,
tylko tak gorzko coś w sercu... Widzicie,
ja ich widziałem. Niosłem do obozu
troszeczkę jadła, wódki, bo to mrozu.
Bóg nie poskąpił. Mówię wam, że życie
byłbym dał chętnie... Patrzę: a to bose,
z ziąbnięte, głodne, biedne i obdarte...


POD STRAŻĄ ANIOŁÓW.

W lesie to było. Przeszedłem przez wartę:
ledwie tam który strzelbę ma, lub kosę,
mało kto kożuch. Za to oficery —
niema co mówić! będzie ich ze cztery
kopy! Ot gorzko! — i takich żołnierzy
ślemy na Moskwę! PROB.: Lecz ta garstka wierzy
w zwycięstwo! III. MIESZCZ.: Moskal wierzy znów w armaty.
II. MIESZCZ.: A uciekały już nieraz psubraty
przed kosą naszych! PROB.: Nie liczba zwycięża
ani broń. Z garstką wybranego męża
zbił Filistyny Gedeon, gdy boża
moc była nad nim. Ci za dobrą sprawę,
za wolność idą w bój, a nie łaskawe
byłyby nieba, gdyby ta obroża
nie miała pęknąć! III. MIESZCZ.: Inne, czasy księże!
dzisiaj na wroga potrzebne oręże,
komenda, żołnierz... I. MIESZCZ.: Co gadacie dużo?
alboż to nasi jak lwy się nie biją,
nie zwyciężają? II. MIESZCZ.: Słusznie! Mocą czyją
był pod Staszowem, zbity wróg, co burzą
taką się zwalił? III. MIESZCZ.: Biją się walecznie,
tego nie przeczę, lecz Staszów spalono,
bo po zwycięstwie cofnęli się pono...
I. MIESZCZ.: z musu... III. MIESZCZ.: A otóż!
II. MIESZCZ.: Tak nie będzie wiecznie:
jak tylko jaką zdobędą fortecę...
III. MIESZCZ.: Znam ja jednego, co był pod Miechowem.
Mieli zdobywać! — Strach rzec! jednem słowem
włosy na głowie stają! Niech w opiece
Bóg nas ma swojej! PROB.: Wiecie, jak to było?
III. MIESZCZ.: Co nie mam wiedzieć, choć mówić nie miło,
co tamten prawił. Wyszli sobie z lasu
w nocy, — mówiono, że z tamtą załogą
łatwo rzecz skończą. Idą sobie drogą,
a ot i miasto! Świt był złoty, ranny, —
a więc godzinki do Najświętszej Panny
szept po cichu... Tam na nich czekają,
armaty, wojsko, wszystko w pogotowiu.
To nic! Kurowski: Naprzód! — aż ołowiu
w oczy im sypną. Ale oni zgrają
lecą! Ten francuz, Rochebrun się nazywa,
w przodzie, jak djabeł! Powiadają dziwa
o jego męstwie... A nasze chłopaki
lecą z nim razem! Wpadają do rynku,
a tu już Moskal w wojennym ordynku
z za murów strzela. A więc jaki taki,
nim pacierz zmówi — trup! To nic! jak burza
do bram się walą, strzelają! Konnica
pędzi im w pomoc, ale cóż poradzi!
wróg z okien strzela! — więc przez miasto sadzi
w gęstych kul deszczu... Jak ta błyskawica
przeszła. Gdzie spojrzeć, jeno krwi kałuża,
trup albo ranny... A tu już się dymią
poddasza. To nic. Naszych garść została,
ale się biją, aż Moskwy nawała
runęła na nich! Przed siłą olbrzymią
muszą się cofnąć, ale jak te wilki
gryzą w ucieczce, strzelają i sieką...
A coraz mniej ich, a lasy daleko,
a już znużeni, a tu ani chwilki
spocząć nie można, więc jak kłos padali
zżęty, u domów swych rodzinnych proga...
No i tak było. A potem — pożoga,
rzeź! Rozjuszone żołdactwo Moskali
spokojnych ludzi rzezało — i piło
w płonących domach, wśród trupów. — Tak było.
(Chwila przygnębiającego milczenia).
GŁOS z rynku: A późno Jasiek! Trzeba ław przystawić
dla skrzypków! Pewno zechcą się zabawić...
II. MIESZCZ.: Straszne! I. MIESZCZ.: Niech ręka boska nas zachowa!
III. MIESZCZ.: A co się działo! Rano Jezusowa!
Jeden mój krewny — teraz obłąkany —
i nie dziw! Chryste! Dziecko mu za nogi
z łóżek wyciągli, gwożdżąc do podłogi,
i główinkami tłukąc je o ściany,
aż mózg się pryskał! Żona była słaba,
leżała w łóżku. Moskal wpadł: Gdzie baba?!
Zoczył, owinął koło ręki kosy
i tak po schodach nogą wlókł za włosy...
Mąż biegł ratować. Czterech go chwyciło
i przed dom z śmiechem wywlokło go siłą,
aby się patrzył, wzięty za ramiona,
jak tam na błocie konała mu żona
w jurnych objęciach kozackich! — Bóg widzi,
a jeszcze nie zbił piorunem! Mój księże,
mnie się tam w sercu już bluźnierstwo lęże —
i będę wkrótce jak turcy lub żydzi,
jeśli tak dalej... II. MIESZCZ.: To jest straszna klęska!
Boga nie wińcie! a łzy — rzecz nie męska...
I. MIESZCZ.: Tutaj Kurowski sam winien, niebacznie
wiodąc na zgubę taki kwiat młodzieży...
PROB.: Bóg to rozsądzi. II. MIESZCZ.: Niech jegomość wierzy,
że nasz Langiewicz... I. MIESZCZ.: Tak! gdy on co zacznie,
to już rozważnie, — w tem cała różnica...
II. MIESZCZ.: Tyle go razy Moskal miał już w dłoni,
a on się zawsze wykręci, obroni,
jeszcze natłucze! Lasem się przemyca,
lub stawia czoło, a gdy ludzi zbierze
garść, to zakłada sobie piękne leże
Moskwie pod nosem, a mimo przechwałek
jeszcze go żaden nie pokonał śmiałek
z moskiewskiej psiarni. III. MIESZCZ.: Eh! znowu gadacie!
II. MIESZCZ.: No, bo powiedzcież sami, panie bracie!
III. MIESZCZ.: Szczęście mu sprzyja... I. MIESZ.: A jeszcze jak siły
z Jeziorańskiego połączy oddziałem,
to mu Czengiery ze swym wojskiem całem
wnet nie podoła! III. MIESZCZ.: Hm... wieści chodziły,
że Jeziorański nie rad połączeniu,
sam chce dowodzić... PROB.: To potwarz! III. MIESZCZ.: Być może...
a tak słyszałem... I. MIESZCZ.: A ja się założę,
iż do Ropocic ściągnął w przeświadczeniu,
że z Langiewiczem złączy się w ten sposób...
PROB.: (w zamyśleniu): Choć Jeziorański... podobno człek dumny?
II. MIESZCZ.: Dzielni są obaj; już co do ich osób,
nic im zarzucić nie można, lecz przecie
Langiewicz starszy rangą, a to, wiecie,
znaczy! A przytem wódz to jest rozumny
i nie był nigdy pobity! PROB.: W nim nasza
nadzieja, przyszłość! Cała ziemia lasza
patrzy na niego z dumą i uciechą!
II. MIESZCZ.: Dajże mu, Boże, szczęście pod tą strzechą,
pod którą spocznie, w nasze wchodząc strony!
PROB.: Pan go ochrania i z swojej opieki
pewno nie puści nigdy!

Scena V.

2 Chłopi i Baba.

CHŁOP: (z biczem w ręku): Pochwalony
niech będzie Jezus Chrystus... PROB.: A, na wieki.
II. MIESZCZ.: Mój dobrodzieju, my tu sobie gadu,
a tam mnie żona czeka. Od obiadu
nie byłem w domu... I. MIESZCZ.: To razem pójdziemy...
III. MIESZCZ.: I ja też idę. Trza wyjrzyć na drogę...
PROB.: No z Bogiem, z Bogiem, a mówię wam, trwogę
wypędźć z serca! Da Bóg, nie zginiemy!
(Mieszczanie wychodzą).

Scena 9.

Proboszcz i Hela wbiega.

HELA: Stryjaszku! idą! (Wskazuje ręką na drzwi otwarte i nadsłuchuje. Słychać dalekie radosne okrzyki i strzały wiwatowe. Dzwony biją nieustannie). Co? stryj zasępiony?
Tu jeszcze ciemno... (zapala świece). GOSP.: Wszystko już gotowe —
jak trzeba będzie, niech jegomość woła (wychodzi).
HELA (przypatruje się księdzu): A cóż to znaczy? ta chmura u czoła?
stryj płakał? cóż to? PROB.: Z radości, dziecino,
tylko z radości! HELA: Wznieść do góry głowę!
Fe! jakże można z taką dziką miną
witać obrońców wolności! Stryjaszku...
a ładnie jestem ubrana? PROB. (roztargniony): Co? ptaszku?
a tak, sukienka, tak, dobra, niczego...
HELA (z wybuchem): Stryju! tu przyjdą nasze bohatery!
i nasz gienerał! ten prawy, ten szczery,
wielki wojownik! Ja nie wiem, dlaczego
łzy mi się cisną! Chciałabym mu dłonie
całować, ręce jego te potężne,
ręce, strudzone w wolności obronie, —
albo do nóg mu rzucić się i skronie
do stóp mu tulić... PROB.: Nie! Bogu jedynie.
Bogu się chwała, cześć i dzięk należy,
jeżeli zechce pobudzić rycerzy;
bez Niego naród, choćby powstał — ginie —
jak się spodoba Jemu... HELA: Gorycz płynie
ze słów twych stryju! Cóż to znaczy?
PROB.: Widzisz, dziecino, ja już jestem stary —
tak się cieszyłem... O ja nie ofiary
boję się, tylko nie wiem, czy ją raczy
Pan świata przyjąć... za te nasze błędy...
HELA: O! stryju! słychać śpiew! już idą tędy!
(Skacze ku drzwiom, ksiądz zamyślony zbliża się do stołu i opiera ręce na tacy z chlebem i solą. Za sceną tymczasem słychać śpiew, coraz bliższy).
ŚPIEW za sceną:
Dalej bracia, do bułata,
Wszak nam dzisiaj tylko żyć!
Pokażemy, że Sarmata
umie jeszcze wolnym być! (bis).
HELA: Czy ci nie skacze serce na te słowa,
stryju! to piosnka powstańców bojowa!
ŚPIEW za sceną:
Długo Polska spała cała,
długo orzeł biały spał,
lecz się ocknął i spamiętał,
że on niegdyś wolność miał!... (bis)
HELA: I mieć ją będzie! tak ufamy w Bogu!
(W tej chwili rynek napełnia się tłumem powstańców i mieszczan, słychać okrzyki, wiwaty, powitania. Dzwony dotąd bijące, milkną).
Stryju! idź witać wodzów na twym progu!
(Proboszcz odwraca się szybko z tacą w rę-

ku — we drzwiach staje Langiewicz — za nim widno głowy ks. Kotkowskiego, Czachowskiego, Ulatowskiego. Krzesimowskiego i innych ze sztabu).

Wspomnienia żony wygnańca

MICHALINY GRUSZECKIEJ.

Od najmłodszych lat mego życia, odkąd pamięcią zasięgnąć mogę, niedola i niewola moich współbraci obijała się o moje uszy. Sybir, kajdany, więzienia, katorga, do której młodzież masami wysyłaną była, oto są wspomnienia mego dziecinnego wieku.

* * *

Ojciec mój, stary wojak z 1831 roku, który walczył do ostatniej chwili na okopach przy wzięciu Warszawy, służył jako audytor czyli sędzia wojenny. On to nieraz powtarzał, że nie można być dobrym Polakiem, nie będąc dobrym katolikiem, tego samego zdania był i mąż mój trzydziestoletni więzień, ofiara moskiewskiego barbarzyństwa i ja też w zupełności podzielam ich przekonania.

Miałam lat dzieięć, kiedy dano znać rodzicom moim, że krewnego naszego prowadzą na Kaukaz przez miasteczko, w którem mieszkaliśmy. Wrażenia, jakie wówczas owładnęło duszę moją, nigdy nie zapomnę. Drżałam ze wzruszenia i gorącemi zalewałam się łzami, patrząc na biedaków, okutych w kajdany. Pierwsze te wrażenia wywarły niezatarty wpływ na rozwój moich uczuć. Mąż mój, w 1838 roku wygnany na Sybir, szedł piechotą w kajdanach z Kijowa do Nerczyńska. Uwolniony w 1858 r. powrócił do kraju, wkrótce ożenił się ze mną i znowu w 1863 roku aresztowany, powtórnie pieszo tę samą podróż odbył w kajdanach do zawodów nerczyńskich. W tej drugiej wędrówce i ja mu towarzyszyłam.

W 1838 roku głównym punktem organizacji była Waszawa. Celem jej było uwolnienie klas pracujących od rozmaitego rodzaju uciemiężenia a wydobycie całego społeczeństwa naszego z niewoli moskiewskiej. Stowarzyszenie dzieliło się na gminy, każda gmina miała swojego wójta. — Najdzielniejsza młodzież, jaka tylko wówczas znajdowała się w Warszawie, stanęła do apelu. Mąż mój, liczący zaledwie 22 lata, przyjął na siebie obowiązek wójta; w tak młodym wieku już był skończonym prawnikiem i pracował przy mecenasie. — Rozporządzenia, tyczące się owej sprawy, rozsyłane były po całem Królestwie. — Na Wołyniu, Podolu i Ukrainie działało skuteczne stowarzyszenie ludu polskiego, którego głównymi założycielami byli Gasper, Maszkowski i Antoni Beaupré. Wiadomo, że schwytanie emisarjusza Szymona Konarskiego położyło koniec wszystkim tym najpiękniejszym usiłowaniom. — Konarski rozstrzelony został w Wilnie, a cytadela warszawska, kijowska i wileńska napełniły się więźniami. Jakie im zadawano męki, trudno teraz uwierzyć. Ja fakta znam najprawdziwsze, bo z ust najwiarogodniejszych męża mojego zaczerpnięte. I tak: w komisji, w której wówczas panował niejaki Tuchałko, zrobiony był otwór w podłodze, w który do połowy wpuszczano więźnia przy indagacji i ćwiczono rózgami, wybijano zęby uderzeniem pięści, dla wymuszenia zeznań. Wśród upałów palono umyślnie w piecu, karmiono śledziami, nie dając ani kropli wody, a pokazując ją tylko z dala, poruszającą się w kryształowych karafkach.

Jeden z więźniów, niejaki Levitoux, Francuz, tak był znękany, że życie sobie odebrał; podłożywszy ogień pod swoje łóżko, spalił się. (Wiadomo, że Levitoux nie mógł znieść ściskania głowy żelazną obręczą, bał się wtedy, żeby na nim nie wymuszono zeznań, więc odebrał sobie życie.) Najmniejsze znoszenie się z krewnymi najsrożej było wzbronione, niektórzy potrafili jakąkolwiek o sobie dać wiadomość, przekalając sobie ciało szpilką i krwią pisząc słów kilka na bieliźnie, oddawanej do prania.

Opowiadał mi Pan Zygmunt Wałecki do jakiego szaleństwa doprowadzał go widok dużej butelki z wodą, którą mu za kratę stawiano po nakarmieniu śledziami — a której w żaden sposób dostać nie mógł.

Wśród tak okropnych warunków starali się jednak nasi męczenicy tworzyć sobie jakieś rozrywki i tak urządzili sobie grę w szachy za pomocą stukania w ścianę, umówili się o znaki i grali zawzięcie — a kiedy czasem porozumieć się nie mogli, wskakiwali na stół i przez luft od komina wykrzykiwali jeden do drugiego: fuszer jesteś, przecie biję twoją królowę i t. p.

Mąż mój niezmiernie był żywego temperamentu — otóż udało mu się z pomocą innych, z papieru w który obwinięta była przysłana z prania bielizna, zrobić maskę wysmarowaną węglem i przedstawiającą djabła. — Szło o to, żeby w chwili, kiedy pewną partję więźniów wypuszczono na korytarz, odstraszyć na chwilę żandarmów i porozumieć się w kilku słowach.— Otóż jeden nakładał maskę, a zabobonni stróże więzienni uwierzywszy, że któryś z więźniów zamieni się w djabła, uciekali i zostawiali kilka chwil do swobodnego porozumienia się. — Ale wreszcie jakiś rozsądniejszy podoficer, pochodzenia polskiego, poznawszy się na figlu, złamanym językiem przemówił do mego męża:

— Pan Gruszecki, ja was proszu ostawtie wy tego djabła, bo nam i wam możecie zaszkodzić.

Opanowywała jednak czasem naszych więźniów niewypowiedziana tęsknota i tak opowiadał mi mój mąż, jak jeden z jego towarzyszy pozbawiony tyle miesięcy słońca i zieleni, siedząc w ciemnej kazamacie pod wpływem jakichś wspomnień, śpiewał ciągle do ulubionej jakiejś topoli.

Topolo, topolo, czy ty mię kochasz?
Czy za mną tęsknisz, czy za mną szlochasz?
Topolo, topolo, ja ciebie kocham,
Za tobą tęsknię, za tobą szlocham.

* * *

Samowładnym panem wówczas w cytadeli warszawskiej był Tuchołko, tyran i połakożerca który pięściami zęby więźniom wybijał. — Z jego rozporządzenia wywożono po kilku na kibitkach, tak trzęsących, że ducha można było wyzionąć i okutych w kajdany, tak, że krew się z nóg sączyła i wieziono do Tobolska — tam odbierano więźniom pieniądze, jakie mieli od rodziny, zwalniano trochę kajdany i pędzono piechotą etapami i do Narczyńska, dając na jedzenie trzy kopiejki dziennie, oprócz więc niewypowiedzianych trudów, cierpieli pędzeni więźniowie głód taki, że pasami rzemiennymi ściskali się, by zatamować potrzebę jedzenia.

Partja, w której szedł mój mąż, składała się z szesnastu Polaków. Najściślej żył mój mąż z Aleksandrem Krajewskim i Franciszkiem Wężykiem. — Ten ostatni zmarł w Narczyńsku na rękach doktora Beaupré i tam jest pochowany.

Tu przypomina mi się wiersz napisany w Nerczyńsku przez Aleksandra Krajewskiego.

Może w tym kraju wygnania,
Tęskniąc za Polską, swoje skończysz dni,
I ciężkiej chwili skonania
Niebo rodzinne nie osłodzi ci.

Dzielne dojrzałe twe siły,
Śmiałe nadzieje, jasnych uczuć świat,
Zstąpię do zimnej mogiły,
Na sen śmiertelny przez tysiące lat.

Ach porzuć lube marzenia,
Bo nie dla ciebie uciech życia zdrój,
Słodkie i szczytne wzruszenia
Miłość, sława, udział to nie twój.

Lecz póki losu zawziętość
Ciężar żywota rozkaże ci nieść,
Troistą w sercu miej świętość:
Boga, Ojczyzny i przyjaźni cześć.

Twe życie w wygnańców kole,
Myśl zawsze w Polsce, Bóg nadzieja Twa,
Taką ci los zdarzył dolę,
Ten godzien lepszej, kto w niej mężnie trwa.

Otóż mając po trzy kopiejki dziennie o chlebie i wodzie doszli nasi do Tomska. Tu już wycieńczenie przebrało miarę, nastąpił kompletny upadek sił. Wówczas Krajewski sprzedał zegarek i rozdał pieniądze między kolegów, zostawiwszy na ucztę pewną sumkę, za którą kupił w ogromnej ilości wątroby wołowej i chleba. Ugotowali sobie tę wątrobę i z taką chciwością przystąpili do uczty, że Wężyk mocno się rozchorował. Musiano się dłużej zatrzymać w Tomsku, a że ze sprzedaży zegarka i od tomskich Polaków przybyło trochę grosza, postanowiono kupić naczyń do gotowania obiadów i prowadzić kuchnię. Ciągniono potem losy, kto z kolegów ma być kucharzem. Los padł na mego męża, najmniej może znającego się na sztuce kulinarnej; opierał się więc z początku, ale zawsze gotowy do oddawania przysług innym, zgodził się wreszcie na rolę kucharza. Pierwsza jednak próba poszła fatalnie, powziął bowiem myśl ugotowania zupy z maku, ale zamiast go utrzeć i wycisnąć, nalał ziarnka na wodę i gotował. Gotował też pół dnia i nic z tego nie wyszło.

Na następnej stacji jakaś sybiraczka przyniosła na sprzedaż prosię; kupiono, zakłuto; ale jak z sierści oczyścić nikt z kolegów nie wiedział. Po walnej naradzie postanowiono ogolić, zdobyto mydło i brzytwę i wygolono starannie, o że upieczone smakowało, kucharz dostał pochwałę, a po skończonej wędrówce łyżkę srebrną w nagrodę z napisem: „Michałowi — koledzy“.

* * *

Po przybyciu na miejsce do Nerczyńska początki były ciężkie, pracę w kopalniach zastosowano prawie do wszystkich z małymi wyjątkami. Po niejakim jednak czasie, kiedy ludzie światlejsi dali się poznać, otrzymywali zajęcia odpowiadające ich wykształceniu. Mąż mój dostał zajęcie wysokiego urzędnika zarządzającego kopalniami, jako nauczyciel przy dzieciach.

Ale co to był za dom! co za stosunki, co za moralność i cywilizacja! to my pojęcia nawet mieć nie możemy o podobnej dzikości obyczajów, a z małymi bardzo wyjątkami wszystkie tam takie były domy rosyjskie. Czterech moich uczniów, opowiadał mój mąż, to były cztery konie stepowe, z którymi znosiłem krzyż pański, a ich siostra jedyna córka, tak była wychowaną, że łajała ojca i matkę wyrazami, których nie śmiem przytaczać.

Byli to ludzie bardzo bogaci, trzymali doskonałego kucharza i mnóstwo służby, ale kiedy małżeństwo się pokłóciło, mąż zabierał do siebie klucze, dysponował pyszne obiady, zapraszał mnie na nie, a żonę z dziećmi wypędzał do kuchni, gdzie zjadała reszty z naszych półmisków, przynoszonych przez lokai.

Następowały potem niemożliwe sprzeczki i kłótnie, dochodzące do potwornych rozmiarów, wśród których między innemi żalami, jakie pani domu wypowiadała swemu mężowi, były i te, że „ona jest bardzo nieszczęśliwą, ponieważ nauczyciel Michajło Iwanowicz, jak nazywali męża mojego, nie chce jej kochać“. Można sobie wyobrazić, jaka była rola i mina mego męża — wytrwał jednak lat kilka w tym domu, bo — musiał. Oto jest obraz rodziny wysokiego urzędnika na Syberji w owych czasach. A co trzeba dodać, że położenie wygnańca w takim domu pod tym względem było fatalne, że taki urzędnik miał nad nim prawo życia i śmierci.

Zdarzyło się raz koledze męża mego, bardzo lubionemu i cenionemu w podobnym innym rosyjskim domu, że kiedy pan domu upił się przy obiedzie, przyszła mu fantazja kazać mu wstać od stołu, bo przypomniał sobie po pijanemu, że „katorżnik i kandalszczyk“ nie mą prawa siedzieć z nim u jednego stołu.

Najgorszem więc było dla naszych wygnańców to ich wyjęcie z pod prawa.

* * *

Po kilku latach tej prawdziwie drugiej katorgi męża mojego w domu zarządzającego kopalniami, nadszedł manifest, uwalniający wygnańców od katorgi, z pozwoleniem wyjazdu na tak zwane posielenie. Wszyscy tedy rozpierzchli się, szukając pracy. Mąż mój, otrzymawszy znaczny zasiłek z kraju od żyjącego jeszcze wówczas ojca, wziął kawał ziemi, którą tam darmo dawano — i wybudował sobie dom duży i wygodny, w którym pokój bawialny miał dwadzieścia łokci długości i tyleż szerokości w kwadrat. Osiadłszy na nowej siedzibie z jednym z kolegów, niejakim Stojkowskim, prowadził duże gospodarstwo. Oprócz pracy około roli, handlował mięsem i trzymał poczę, zakupiwszy konie w ilości około 300 sztuk. Dochody z tej spekulacji szły na utrzymanie kolegów, przybywających ze wszystkich stron bez funduszu. Liczba ich doszła do dwunastu i ci długie lata przebywali u mego męża.

Opowiadał mi mój mąż takie o sobie zdarzenie: Kiedy dom już był wykończony, trzeba było jeszcze pobudować inne zabudowania gospodarskie. Ugodzeni robotnicy zabrali się żwawo do roboty, a kiedy ta już była na ukończeniu, nadszedł dzień Zwiastowania Najświętszej Panny. Robotnicy pytają mego męża, czy zgodzi się, żeby w tym dniu kończyć robotę. Mąż mój, jakkolwiek bardzo religijny, zezwala dla pośpiechu. Tymczasem, gdy już wszystko było gotowe, śni się memu mężowi, że postać kobieca w białych szatach stoi koło niego i mówi: „Bezbożny człowieku, nie uszanowałeś święta, jesteś ukarany, wstań i patrz, w co się obróciła twoja praca“. Mąż mój zrywa się i widzi zabudowania w płomieniach. Pożar tak gwałtownie się szerzył, że ratunek był kompletnie niemożebny. Opowiadając mi ten fakt, zawsze się rozrzewniał i święto Zwiastowania Matki Bożej bardzo uroczyście obchodził.

Gromadka, żyjąca pod dachem męża mojego, żyła jak najzgodniej. Rozmowy ich przeciągały się nieraz za północ, a treścią ich była zawsze kwestja narodowa. Nikt z nich nie wątpił o możliwości wydobycia się z pod jarzma moskiewskiego i odbudowania Polski w najdawniejszych jej granicach. Z tą nadzieją i myślą mąż mój żył i umierał i w ostatnich chwilach jeszcze o tem mówił.

Takiemi przekonaniami żyli wszyscy wygnańcy i powracali do kraju ze świeżym umysłem, energją i czerstwem zdrowiem.

Fragment z poematu: „List“.

Miał lat dwadzieścia kilka i suchoty
Lekarskich powag wsparte dokumentem.
Zwiedził Merany wszystkie i Zopoty
I do ojczyzny powrócił ze wstrętem.
Czując, że bliską śmierć zwiastują poty,

Perłami kropel na ciele wyschniętem,
Bijące codzień wśród kaszlu ataków,
Więc się nie łudził złudzeniem Polaków.—

Owem złudzeniem, co wbrew konsekwencji
Logicznych formuł wiecznie ufać każe
Jakichś mistycznych potęg ingerencji
Idących w pomoc w błyskawic pożarze.—
Stefan wbrew szkolnych czytanek sentencyj,
Że z wrastającą biedą idzie w parze
Nadprzyrodzona pomoc, wierzył święcie,
Że na dziurawym już płynął okręcie.

I śmierć swą bliską widział w oddaleniu
Paru miesięcy a ten czasu przedział
Zegarem pulsu mierzył w serca drżeniu,
I na chwil tysiąc rozłamawszy wiedział
Ile chwil życia tracił w każdem tchnieniu
I nieraz dłonią skroń podparłszy siedział
Godziny całe śledząc szklannym wzrokiem
Śmierć co mierzyła przestrzeń równym krokiem.

Więc wzrok przymykał przed strasznym obrazem,
Nieraz na łoże upadłszy bezwładnie,
Chciałby się w otchłań nagle stoczyć głazem.
Tak dziecko, gdy je strach nocny opadnie
A nogi dzika trwoga skuje razem
Nie mogąc uciec, wzrok przymknie bezradnie
I z krzykiem w mary rzuca się objęcia
Przed śmiercią Stefan czuł trwogę dziecięcia.

Choć sam tę trwogę nazywał dziecinną
I ducha zbroił puklerzem rozsądku:
Wszak śmieć dla ciała tylko formą inną,
Dla ducha nie ma końca ni początku,
Jeśli w materji duch jest siłą czynną,
Znów ją jak ciasto zaczyni, jak zwrzątku
Czarodziejskiego kotła kształt wyłowi
I znów ją zetrze w proch i znów odnowi.

Zaś gdy do ziemi zejdzie losem ziemian
Nie będzie myśleć więcej, ni w pamięci
Nie pozostanie nic z tych ciągłych krzemian
Zresztą bynajmniej ciekawość nie nęci
Jaki się ciałem tem wzbogaci przemian
Lub jaki robak do mózgu się wkręci
Tak rozumował a każdy argument
Stał prosty, silny, jak myśli postument.

Lecz kiedy sądził, że ta barykada
Będzie mu twierdzą bezpieczną — z nienacka
Coś nim wstrząsnęło, czuł że się rozpada
Twierdzy fundament i trwoga warjacka
Pierś mu mroziła jak dotknięcie gada
Ohydna zmora — czuł jak każda macka
Tego potworu w serce mu się wszczepia
A w twarz mu patrzą nieruchome ślepia.

Więc po cóż trwogą umierać stokrotnie
Nim go paroksyzm śmiertelny zadusi,
Ta myśl mu duszę głaskała przelotnie
Niby narkotyk co wciąż silniej kusi.
Aż raz pod wieczór dumając samotnie
Ujrzał zdziwiony, że spełnić się musi
Co już dojrzało w ciemnych myśli męce
— Wybawicielko blada w twoje ręce!

Przed śmiercią takie zostawił na stole
Pismo z nagłówkiem: Wszystko jedno komu —
Umieram, ciało zakopcie me w dole,
Pod starą lipą u wrót mego domu.
Nie chcę sąsiedztwa innych ciał, tam wolę...
Jeżeli z krewnych mych przyjdzie ktoś, to mu
Powiedzcie niechaj nie chodzi w żałobie,
— Nie chcę współczucia być dłużnym tam w grobie.

List ten ostatni to nie fajerwerki
Czułostkowości serca, ni rakiety
Co wystrzeliły z przedzgonnej rozterki,
Choć się przyczyni może, że kobiety
Ducha mojego będą przez ekierki
Wzywać po dobrej kolacji na wety.
— Czy je przerazi mój duch czy rozsmętni
Nie dbam — w tych słowach moje życie tętni.

Życie kipiącą młodością rozrzutne
Życie śmiechami pijanymi gwarne,
A w głębi serca wciąż ciche i smutne,
Wielkości żądne a tak z zewnątrz marne,
A często sobie i ludziom okrutne. —
Oto raz jeszcze płomienie pożarne,
W których się duch mój i ciało spaliło
Rozpalam — widmo przeszłości ożyło.

Nie, ja nie dotknę się białej zasłony
Nad marzeniami dziecka tak rozpiętej,
Że duch dziecięcych marzeń umęczony
Leży tak cicho, jak męczennik święty,
Bo gdybym klęknął nad nim pochylony
Toby się strwożył, myśląc żem przeklęty
I w mgłę się rozwiał, bym go nie powalał,
Albo odjęknął i łzami się zalał.

Szczęśliwy kogo u progu żywota
Miłość uwieńczy koroną z płomieni,
Że chodzi odtąd jak pochodnia złota,
Aż z światłem życie całe wypromieni,
Ostatni rozblask bijąc w śmierci wrota
Jeszcze ją taką łuną rozpłomieni,
Tak smętkiem duszy rozwianą na wieczność,
Jakby szedł człowiek nie w śmierć, lecz w słoneczność.

. . . .
. . . .

Edward Leszczyński.

Dziedzictwo roku przyszłego.

Jak się dziejopisarzowi pokoleń przyszłych będą przedstawiały losy Austrji w roku, który za tydzień zemrze, by zrobić miejsce następcy?

Ten obserwator będzie miał przedewszystkiem wygodniejsze stanowisko, niż my, historycy chwil bieżących. Będzie na sprawy roku 1902-go spoglądał z wysoka, jak się spogląda z szczytu góry na dołem rozłożone doliny, łąki, pola, wsi, miasteczka. Wszystko, co drobne, co naprawdę mało znaczące, zniknie z przed jego oczu. Ogarnie zatem wzrokiem więcej, niż my możemy teraz widzieć; będzie widział zarysy ogólne tych spraw, których my dostrzegliśmy zaledwie cząstkę; będzie mógł porównać rozmiary i kształty części poszczególnych, składających się na całość ogólną.

Zdaje mi się przecież, że bez względu na lepsze stanowisko obserwacyjne i na obfitość materjałów dowodowych ów przyszły dziejopisarz będzie musiał przyznać, iż najwybitniejszym faktem w dziejach monarchji Habsburskiej podczas roku bieżącego jest odsunięcie się od Niemiec i przysunięcie do grupy przeciwników, do Rosji i do Francji.

Już podróż arcyksięcia Franciszka Ferdynanda do Petersburga zapowiadała ten zwrot, — zwrot niesłychanie ważny w układzie stosunków międzypaństwowych. Ataki prasy niemieckiej na ambasadora francuskiego w Wiedniu, margrabiego de Reverseant odsłoniły światu fakt, że przedstawiciel Francji nad Dunajem stał się przeciwnikiem niewygodnym dla interesów politycznych Rzeszy. Obecny przyjazd rosyjskiego ministra spraw zagranicznych hr. Lambsdorffa do Wiednia ma na celu zgoła inne sprawy, niż Macedonja, jej krzywdy i jej nadzieje. O tej Macedonji pisze na rozkaz biur z Ballhausplatzu cała prasa półurzędowa, by odwrócić uwagę Niemiec. Jest to mylenie tropów zupełnie, jak podstęp wojowników indyjskich w opowiadaniach Gerstäckera. W rzeczywistości gra będzie się toczyła o inną stawkę...

tatorom, z drugiej uśpić czujność berlińskiego Gargantudy, żarłoka-olbrzyma, który od trzech wieków pożera ziemie i ludy, nie mogąc nasycić swego apetytu. I w polityce zagranicznej na pozór nie zmieniono nic. Odnowiono w roku bieżącym trójprzymierze bez oporu. Odegrano nawet komedję radości z okazji tego odnowienia. Prasie inspirowanej kazano wyśpiewać hymn na cześć wiernego, długoletniego sojusznika.

Równocześnie nawięzywano drut między Wiedniem i Petersburgiem, między Wiedniem a Paryżem. Hr. Gołuchowski góruje nad hr. Bülowem jedną cnotą, jeddną, lecz wielką. Nie lub się przechwalać, że jest mądrym. Trzyma się dawnych, austrjackich metod dyplomatycznych dawnych z epoki, poprzedzającej błędy Buola-Schauensteina, Rechberga i Mennsdorffa, ludzi, którzy odosobniwszy Austrję dyplomatycznie, skazali ją na klęski w 1859 i 1866 r. Hr. Gołuchowski pracuje w ciszy gabinetu; o rezultatach jego pracy świat dowiaduje się dopiero wtedy, gdy są one już istotnie gotowe. Hołduje zasadzie, że o powodzeniu, potędze i całości Austrji rozstrzyga systemat dobrze wybranych i dobranych sojuszów, jak to czynił Raunitz, Thugut, Metternich. Czuwa, by w owym systemacie nie powstała luka. Stara się więc zawczasu tę lukę zastąpić czemś nowem, silnem, zdrowem.

Teraz nadeszła taka chwila. Trójprzymierze nie tylko się przeżyło, lecz grozi dobytkowi Habsburgów niebezpieczeństwem. Ułatwia bowiom Hohenzollernom zajazd podczas pokoju. Hrabia Gołuchowski przeto powrócił do dawnej myśli kanclerza Kaunitza, owego mądrego konstruktora politycznego, który chciał zniszczyć Prusy z pomocą koalicji. podobnej do żelaznego pierścienia, zakładanego delikwentowi na szyję. Plan nie powiódł się w tej formie, jaką mu Kaunitz nadał, bądźcobądź przecież powstrzymał Prusy w planach, obliczonych na szkodę Habsburgów...

O zniszczeniu Prus nie myśli też Polak, siedzący dzisiaj w pałacu, pobudowanym przez Kaunitza dla kanclerzy państwa. Że jednak w znowieniu planu poprzednika widzi możność zabezpieczenia się wobec możliwych niespodzianek z strony Berlina, o tem długo nie trzeba dowodzić. Wie, że ks. Bismarck niczego tak się nie obawiał, jak wznowienia koalicji Kaunitzowskiej. Ostrzeżenie przed nią zostawił następcom jako testament polityczny. Byłaby to jedna z ironij, które lubi historja, gdyby ów testament obalił syn narodu, najbardziej przez Prusaków znienawidzonego, gdyż najbardziej dla nich niebezpiecznego jeszcze po dzień dzisiejszy.

Rok bieżący przekaże zatem następcy dziedzictwo poważne. Polak naprawił przed laty



ARTUR GROTTGER: „WALKA“ Naśladownictwo zastrzeżone.

Koła decydujące wiedeńskie już od lat trzech zoczyły, jakie im grozi niebezpieczeństwo od strony Niemiec. Agitacja wszechniemiecka, a jeszcze bardziej protestantyzacja Niemców austrjackich pod hasłem „Precz z Rzymem“ ostrzegły Wiedeń, którędy chce się do dzierżaw Habsburskich zakraść zaborca pruski. I bez straty czasu zabrano się do obrony. W polityce wewnętrznej pozornie zbliżono się do stronnictw niemieckich, by z jednej strony odjąć niejeden argument agi-

kilkunastu błędy poprzednich ministrów skarbu: Polak zapewni Austro-Węgrom bezpieczeństwo zewnętrzne.

Wiedeń. *Adam Nowicki.*

Z Rzymu.

I.

Bazylika św. Piotra.

Plac olbrzym, dwakroć dłuższy od rynku Krakowa,
Potężne ogarnęły z dwu stron kolumnady
W środku obelisk z krzyżem, z boków dwie ka-
[skady —
Przedemną strzelająca pod niebo budowa.

Zbliżam się — w oczach rosną gzymse i kolu-
[mny;
Jużem w atrium, świątyni już oglądam mury,
Gdzie spojrzę, lśnią mozajki, bronze i marmury
W dali u grobiu Piotra lamp korowód tłumny!

Stanąłem pod kopułą z kochaną drużyną,
I porwała nam dusze potęga Kościeła:
Drżą serca, kornie chylą się ku ziemi czoła —

A głos tajemny mówi: „Królestwa przeminą,
Miną ludy — my miniem, co tu dziś czuwamy,
A budowy tej, piekła nie przemogą bramy“.

II.

Koloseum.

Pamiętasz koloseum, przyjaciółko droga,
Gdzieśmy stali u szczytu, niby jesień z wiosną?
Przed nami te ogromy piętrzą się i rosną —
Nad nami błękit czysty, jak spojrzenie Boga.

Z tych murów poszarpanych, z rozwartych pod-
[ziemi,
Z bestyaryów, krużganków wstają dziwne mary,
I przed duszą się jawi zamarły świat stary.
Tam, gdzie wędrowiec stąpa dziś kroki cichymi.

Śród nawoływań tłumów, z pod paszczy tygrysa
Ileż krwi tam spłynęło z czystych ofiar łona,
Beztrwożnych, bo im mocą Prawda objawiona!

O siostro! i nam z serca dziś wróg krew wy-
[sysa;
Ale gdy prawda z nami — nic on nie dokaże:
Wszak ci zmarli dziś świątyń zalegli ołtarze!..

III.

Pieta.

Śród tylu wspaniałości w Piotra bazylice,
Ciągnie wzrok arcydzieło Michała Anioła:
Postać biała, z ciemnego sterczęca cokoła —
Ach! to bolesną widzę Matkę i Dziewicę!

Na kolanach siedzącej zdjęte z krzyża ciało,
Bezwładne wiszą ręce, nogi Zbawiciela...
Jakiż bezmiar boleści w tę Matkę się wciela!
Jednak śladu rozpaczy oko nie dojrzało.

O! bo wzrok bolejącej sięga w czas daleki
I widzi dokonane odkupienia dzieło
I długi szereg grzesznych zbawianych przez
[wieki,
Których serce matczyne miłością objęło,
O któż da oczom moim łez obfitych zdroje! —
I nademną bolało, Matko, serce Twoje!

Rzym, 30 listopada 1902.

Wincenty Stroka.

Sylwerjusz Kondratowicz.

TANIEC LICHWY

POWIEŚĆ

na tle stosunków współczesnych.

130 (Ciąg dalszy).

Spojrzała gniewnym wzrokiem na przechodnia, lecz ten nie zauważył jej spojrzenia i poszedł dalej, śmiejąc się do swej towarzyszki.

— Jakże ludzie są bezlitośni i okrutni — pomyślała.

Odetchnęła, gdy dorożka zatrzymała się wreszcie przed domem, gdzie mieszkał jeden z bardzo wziętych prawników.

Długo musieli czekać na audjencję w dusznej poczekalni, napełnionej tłumem interesantów. Wreszcie po upływie godziny dopuszczono ich przed oblicze znakomitości.

W krótkich słowach, nader treściwie, opowiedział Molski sprawę, dla której tu przybył.

— Hm!... hm! — mruknął znacząco adwokat.

— Co pan mecenas radzi?

— Najlepiej byłoby znaleźć życzliwego kapitalistę, którzyby w pańskiem imieniu stanął do licytacji, a właściwie nie w pańskiem, a w imieniu małżonki... to będzie bezpieczniej — dodał znacząco.

Molski pochylił głowę bezradnie i rzekł:

— Teraz trudno o pieniądze... próbowałem.

— Hm!... zapewne, wiem o tem dobrze, rynek pieniężny przechodzi ciężkie przesilenie...

— Bardzo ciężkie! — westchnął Molski.

— A jednak gdyby pan dobrodziej wcześniej był do mnie się zgłosił, możeby się i dało kogoś wyszukać. Dziś zapóźno! — powiedział i rozkrzyżował ręce.

— Więc niema żadnej rady?

— Tegom nie powiedział; owszem, jest wiele sposobów... przedewszystkiem chciałbym wiedzieć, czy poza długami hypetecznemi ma pan jeszcze i inne zobowiązania pieniężne?

— Mam — odparł Molski głosem cichym.

— Na jaką sumę?

— Na razie trudno mi określić..!

— Aa!... w takim razie winno nam chodzić przedewszystkiem o utrzymanie jak najdłużej dochodów z domu; dochód to bardzo znaczny, bo przynoszący 50.000 rubli; na to zaś jest niezawodny sposób — zwalenia licytacji, a wówczas jakie pół roku a nawet rok można być spokojnym, przez ten czas zaś, uda się może dostać pożyczkę, albo znaleść kupca na dom i sprzedać z wolnej ręki.

— Zapewne, byłoby tak najlepiej.

— Otóż to, oceniłem właściwie sytuację, zanim jednak ostatecznie będę mógł coś poradzić, wprzód muszę przejrzeć całą procedurę wystawienia domu na licytację; może się tam znajdzie jakieś maleńkie uchybienie, jakaś drobnostka, jakieś przeoczenie, jakieś nic, które jednak z punktu formalistyki prawnej może nam dać punkt do zahaczenia i odrzucenia licytacji. Dlatego więc proszę szanownego pana o pofatygowasię do mnie za dni kilka, a przez ten czas rozejrzę się w aktach.

— Kilka dni? Ależ, panie mecenasie.., termin licytacji przypada w poniedziałek. — przypomniał Molski.

— W poniedziałek?..; Ach, prawda, wszakże pan o tem mówił na samym wtępie. W poniedziałek — to znaczy za trzy dni, dziś mamy czwartek. Mało czasu, bardzo mało, mam tyle pilnych spraw na głowie...

— Możeby się jednak dało? — odezwał się Molski tonem nieśmiałym i niemal błagalnym.

— Prosimy o to bardzo — dodała od siebie Molska i słowa te poparła łzawem wejrzeniem.

— Będę niezmiernie zobowiązany — powiedział jeszcze Molski.

— A więc dobrze, postaram się i poproszę państwa na jutro w godzinach wieczornych, gdy załatwię interesantów — powiedział pan mecenas i powstał z miejsca, dając tem poznać, że audjencja została skończoną.

Na drugi dzień Molski był tak osłabiony, że o powtórnej wizycie u adwokata nie mogło być mowy. Pojechała więc Molska sama.

— Adwokat przyjął ją z wyszukaną grzecznością i na samym wstępie zapytał:

— A mąż?

— Niestety, mąż przyjechać nie mógł, czuje się dziś więcej osłabiony, mam jednak nadzieję, że gdy mu przywiozę dobrą wiadomość...

Adwokat rozkrzyżował i opuścił bezradnie ręce.

— Żal mi, lecz nic pomyślnego powiedzieć nie mogę: przeglądałem najważniejsze akta, ogłoszenia w pismach, wezwania i publikacje, lecz znalazłem wszystko w zupełnym porządku.. Ani jednego uchybienia, żadnego haczyka, żadnej chropowatości, o którą możnaby zaczepić protest.

Usłyszawszy to, Molska zbladła, nogi się pod nią zachwiały, aż musiała się oprzeć obiema rękami o biurko, żeby nie upaść.

Szła tu z zupełną otuchą, że znakomity adwokat znajdzie przecież sposób przeciwko wyzuciu ich z majątku, że potrafi sparaliżować zakusy żydowskie, że otoczy ich opieką prawną, przy pomocy której nie zdoła wydrzeć im własności. Była tego niemal pewną i nagle te kilka słów odebrało jej całą nadzieję.

Struchlała na myśl co się stanie z mężem, gdy przyniesie mu tę wiadomość, a w cudnych jej oczach, pełnych niewymownego smutku zabłysły łzy.

Adwokat je dostrzegł i tknięty widać współczuciem, zbliżył się i wziąwszy ją za obydwie ręce podprowadził do fotelu i usadziwszy, powiedział:

— Niech pani będzie łaskawa uspokoić się i być dobrej myśli... Nic jeszcze niema straconego, jest tylko małe utrudnienie, zmuszające do szukania innego środka zaradczego. W praktyce obrończej to rzecz zwyczajna: nie uda się jedno, może się uda drugie...

Spojrzała na niego z wdzięcznością, lecz i z niedowierzaniem zarazem.

— Pan mecenas jednak mówił...

— Tak, mówiłem, że żadnego uchybienia zestrony przeciwnej nie znalazłem, czyli, że o niedopuszczeniu do licytacji myśleć nie można, odbyć się ona musi. Teraz więc nastręcza się inny dylemat: trzeba albo wejść w kompromis z wiorzycielami, co jest rzeczą wykluczoną, albo... mąż pani wspominał o podstawionych licytantach, środek to dobry i wypróbowany, nie można jednak liczyć na jednego, musi być ich kilku, którzyby wzajemnie się wspierali, podobno mąż pani ma już takich... Moje stanowisko nie pozwala wprawdzie na doradzenie środków obrony, nie zgodnych z duchem i literą prawa, lecz... gdy jest periculum in mora i gdy trzeba walczyć z przewrotnością i wyzyskiem żydowskim... to trudno.

— Więc pan mecenas radzi?

— Działać. Ja ze swej strony w dniu licytacji znajdując się w sali sądowej, moja obecność może się przydać, potrzebuję jednak mieć formalną plenipotencję do działania, w razie gdy nastręczy się ku temu przyjazna sposobność. Często sam proces licytacyjny daje wyborny materjał do obrony. Dziś jeszcze każę przygotować plenipotencję i przyślę ją małżonkowi pani do podpisu... a tymczasem proszę być dobrej myśli i uspokoić męża. Nie należy się martwić przedwcześnie.

Zostawiwszy adwokatowi 100 rubli, jako tymczasowe honorarjum i to z pieniędzy otrzymanych ze sprzedaży kosztownego pierścienia, będącego rodzinną pamiątką po dziadku jej męża, powróciła do domu.

Z relacji otrzymanej Molski, zdawało się, był bardzo zadowolony. Wypytywał żonę o najdrobniejsze szczegóły rozmowy, kazał po kilka razy powtarzać każdy niemal wyraz powiedziany przez adwokata, jakby do każdego z tych wyrazów przywiązywał szczególne znaczenie, i dlatego wciąż pytał:

— Czy tylko tak powiedział?

— Ależ tak.

— Czy aby dobrze pamiętasz, mój aniołku?

— Ależ tak, co do słowa, mówiłam już, — odparła w końcu z pewnem zniecierpliwieniem i zaniepokojeniem zarazem.

Mąż jej wydał się jakiś dziwny, jakim go jeszcze przedtem nigdy nie widziała. Zdawał się być poprostu wielce zadowolony, szczęśliwy niemal, słysząc to, co mówiła mu żona. Wreszcie powiedział:

— Tak, to doskonały adwokat, jestem teraz zupełnie spokojny!

Powiedział to tonem tak niezwykłym i tak jakoś dziwnie się uśmiechał, a oczy miały wyraz tak szczególny, że Molska, wylękniona, wzięła go za rękę, chcąc się przekonać, czy nie ma gorączki.

Miał ją istotnie. Ręce były rozpalone, a i twarz, na której wystąpiły purpurowe rumieńce, pałała.

— Sławku!... Tobie gorzej! — zawołała z przerażeniem.

— Nic, nic, cóż znowu? Cóżby się mogło stać przy tobie, przecież ciągle bywała przy mnie.

— Przy tobie? Wszakże jeździłam do adwokata! — powiedziała, patrząc nań wzrokiem przerażonym. (C. d. n.)

Tęsknota.

Nad bezbrzeżną rozpaczą i jękiem błyskawic,
Litowanie się cichej fujarki pastuszej,
Błędny rycerz za cieniem w siną dal wyruszy,
Będzie mieczem przeszywał złudne piersi mgławic.

Nadaremnie baśń złota skroń na tęczy wsparła.
Anioł szczęścia westchnieniem rozbił kryształ
[ciszy,
Pęknięcie serca swego królewna usłyszy,
Nad jej sennem marzeniem wrzasnął zły śmiech
[karła.

O, okropne! jej oczy nie są z tego świata!
Cudny chrzest zachwycenia wzięło od nich życie.
Jeśli straszną nagością w jej sen wtargnie skry-
[cie!

Do bram pałacu wiedźma ohydna kołata,
Płonie krwawo rzeź marzeń w zachodu purpu-
[rze,
Na pierś królewny deszczem padły czarne róże.

Adam Znamirowski.

Z DZIEJÓW

naszej porozbiorowej polityki.

Smutno, bardzo smutno nawet, kończył się pamiętny rok 1848. Marzenia o wolności, opartej na braterstwie ludów, poczęte na bruku paryskim, rozwiały się jak mgła poranna pod zimnem tchnieniem reakcji. Po niezwykle wczesnej, słonecznej wiośnie nastąpiła jesień chmurna i złowroga, oświecona łuną pożarów, rozbrzmiewająca od plutonowych strzałów, pod któremi padały ofiary nowego systemu.

Jeszcze nie wygasły zgliszcza płonącego Wiednia, kiedy Hamerstein rozpoczął dzieło zniszczenia w czerwono-ruskiej stolicy, we Lwowie. Wiadomość o tych wypadkach sprawiła przygnębiające na umysłach polskich wrażenie. Jeżeli kto bowiem, to przedewszystkiem Polacy widzieli od początku w tej „jutrzence swobody" początek lepszej przyszłości. Z dziecinną naiwnością wierzyli oni, że z chwilą powszechnego przebudzenia się narodów, sprawa polska stanie na porządku dziennym i nie zejdzie stąd tak długo, aż rozerwanemu i ujarzmionemu narodowi wymierzy sprawiedliwość odradzająca się Europa. — W tem przekonaniu biegli więc wszędzie tam. gdzie ich wzywał głos wolności: walczyli na paryskich barykadach, tworzyli legjony we Włoszech, bronili uciśniony Wiedeń przed Kroatami Jellačica i rozpasanem żołdactwem Windischgrätza, szli pod sztandary węgierskiej insurrekcji, zawsze zapatrzeni w cel jeden wielki i szczytny, służenia Ojczyźnie i sprawie wolności. Tymczasem nadzieje te zawodziły, wzniosłe hasła rewolucyjne rozpływały się w powodzi partykularnych interesów narodowych, stanowych i państwowych, każdy troszczył się o siebie, dla Polaków miano tylko pochlebne słowa uznania i zdawkową monetę współczucia.

Przyczyn tego, na pozór niewytłomaczonego objawu, szukać należy nie tylko w wyjątkowo trudnem położeniu narodu polskiego wogóle, ale i w błędach jego politycznych. Rozbici, pozbawieni wszelkiej reprezentacji, nie byliśmy w stanie ani ułożyć jasnego programu działania, ani też skupić sił narodowych do dopięcia zamierzonego celu. Nie zdołała tego uczynić emigracja, rozerwana na obozy, zwalczające się namiętnie, nie mogło dokazać społeczeństwo w kraju, zostające pod obuchem najstraszniejszego ucisku. I stąd poszło też że wszelkie usiłowania nasze w tym pamiętnym roku, podejmowane bez planu i systemu, nie przyniosły sprawie narodowej najmniejszego prawie pożytku, a kraj naraziły na nowe ofiary i klęski.



NA PASTERKĘ.

Nie brakło wprawdzie u nas wtedy ludzi, którzy widzieli jasno potrzebę utworzenia jakiejś władzy naczelnej, którąby polityce polskiej wytyczny nadawać mogła kierunek i w tym celu zwołano na początku maja 1848 r. zjazd do Wrocławia pod przewodnictwem generała Henryka Dembińskiego, ale w skutek niezgody i tej okoliczności, że emigracyę od udziału w zjeździe z góry wykluczono, spełzły obrady na niczem. Nie przyszła do skutku ani „Komisja federacyjna polska z władzą na zewnątrz" ani nawet „liga polska zbożowa", proponowana przez Augusta Cieszkowskiego na wzór podobnego stowarzyszenia w Anglji (Korn League).

Tymczasem widnokrąg polityczny chmurzył się i zciemniał coraz bardziej. Na kilka dni przed zjazdem wrocławskim padły pierwsze strzały na rynku krakowskim (25 i 26 kwietnia); wystraszone i bezbronne miasto musiało kapitulować i wydalić w przeciągu 24 godzin wszystkich emigrantów, a równolegle prawie rozprószył rząd pruski ruchawkę wielkopolską, ku niepomiernemu zadowoleniu cara Mikołaja i ówczesnych hakatystów, którzy właśnie założyli pierwsze stowarzyszenie do szerzenia niemczyzny na wschodzie, czyli t. zw. „Ostmarkverein". W ślad za tem poszło bombardowanie Pragi przez Windischgrätza i rozbicie obradującego tam „kongresu słowiańskiego". Widocznie podnosiła reakcja coraz śmielej głowę, i pierwszy sejm austrjacki, zebrany w Wiedniu d. 10 lipca musiał działaniem swojem katastrofę przyspieszyć. Jakoż stało się to w pierwszych dniach października i w cztery tygodnie potem ulegli Wiedeńczycy siłom Jellačica i Windischgrätza.

W tej chwili dopiero powstała w kołach emigracyjnych polskich w Paryżu myśl jakiegoś skombinowanego działania z krajem. Ks. Adam Czartoryski polecił Karolowi Forsterowi, majorowi b. wojsk polskich, który udawał się w prywatnych interesach do Galicji, aby nawiązał w tym celu rokowania z hr. Adamem Potockim.

Forster zastał położenie już zupełnie zmienione. Rzeczy doszły wtedy mianowicie do tego kre u, że gdy przeciw tryumfującej reakcji stali w zwartym szeregu Węgrzy, Niemcy i Włosi, Słowianie austrjaccy, z wyjątkiem Polaków, zajmowali stanowisko pośrednie i dążyli do przekształcenia monarchji w państwo federacyjne o charakterze słowiańskim. Działanie w tym kierunku rozpoczęli Czesi (Palacky, Rieger) a i pomiędzy Polakami niebrakło takich, że wymienimy tu ks. Jerzego Lubomirskiego, co zamiarom czeskim nie tylko sprzyjali ale je nawet do pewnego stopnia popierali.

Najgorętszym zwolennikiem „słowiańskiej" Austrji i zaprowadzenia porządku przez Słowian był głośny tyle margr. Aleksander Wielopolski. Pod wrażeniem rzezi galicyjskiej w r. 1846 wydał on słynny swój „List do Metternicha", gdzie zalecał Polakom zlanie się z Rosją, obecnie zaś w prywatnej korespondencji z Ant. Zygm. Helclem cieszył się, że jedna część emigrantów polskich jest w Wiedniu, a druga idzie do Węgier, bo „skoro wszyscy anarchiści z Niemcami się połączą, wtedy odniosą Słowianie zwycięstwo, które będzie także zwycięstwem porządku i prawdziwej wolności" (list z d. 29 października 1898 r.). Tych uniesień i nadziei nie podzielał ani Helcel ani jego przyjaciele polityczni, ale i oni także pod wrażeniem wypadków ostatnich nabrali przekonania, że łączenie sprawy polskiej z ogólnem ruchem rewolucyjnym europejskim, Polakom pożytku nie przyniesie i mniemali, że należy punkt ciężkości działania politycznego przenieść do kraju, i korzystając z obowiązującej jeszcze wtedy konstytucji, pracować nad powolnem lecz skutecznem podniesieniem społeczeństwa i odrodzeniem narodu.

W tym duchu wypadła też odpowiedź Adama Potockiego na propozycje paryskie, z hotelu Lambert przysłane. Żądał on mianowicie, aby Czartoryski przeniósł się do Galicji, albo bliżej kraju, aby zaniechał polityki osobistej i ze „stanowiska emigracyjnego, przeto rewolucyjnego i z zasady konspiracyjnego" przeszedł na pole legalnego działania w kraju. W chwili gdy Forster powyższe żądania wiózł do Paryża, były one zupełnie uzasadnione. Nie tylko Adam Potocki bowiem, ale i ludzie stojący u źródła ówczesnej polityki (np. Franciszek Smolka, prezydent sejmu w Kromieryżu) mniemali, że ucisk reakcyjny jest tylko chwilowym, że zaprowadzenie stanu oblężenia w Galicji, zawieszenie dzienników, powołanie pod broń pospolitego ruszenia chłopskiego (Landsturm), wywołane wypadkami węgierskiemi ustaną w jak najkrótszym czasie, i że sejm przeniesiony do Kromieryża wypracuje konstytucję w duchu federacyjnym, zapewniającą i równouprawnienie i zarazem przewagę żywiołowi słowiańskiemu w Austrji.

W takim razie otwierało się rzeczywiście rozległe pole do działania legalnego w kraju w takim razie popieranie rewolucji czy to węgierskiej czy włoskiej było ze strony Polaków, szukających punktu oparcia w Austrji, błędem politycznym.

W Paryżu nie wdawano się w roztrząsanie tych zawiłych kwestyi i ks. Adam Czartoryski po naradzie z najwybitniejszymi członkami swego stronnictwa odrzucił zupełnie propozycję Potockiego.

Na tem skończyły się zabiegi, zmierzające do nadania wytycznego kierunku polityce narodowej, a szybko po sobie następujące wypadki okazały, że działanie było spóźnione. Komisja konstytucyjna kromieryzkiego sejmu uchwaliła bowiem projekt nowej konstytucji na podstawie federacyjnego wniosku Palackiego, ale w dniu, kiedy sprawa ta miała wejść na porządek dzienny izby poselskiej, zjawił się o godz. 5-tej zrana radca dworu Mercandin w pomieszkaniu prezydenta Smolki i wręczył mu rozkaz cesarski rozwiązania sejmu.

Tak rozwiały się w jednej chwili i marzenia wolnomyślne i nadzieje federalistów, tryumfująca kamaryla z Feliksem Schwarzenbergiem na czele, poprowadziła Austrję prostą drogą na pola Magenty i Solferina.

August Sokołowski.

CONON DOYLE.

TAJEMNICA BASKERVILLE'ÓW

Dziwne przygody Sherlocka Holmes.

Przekład z angielskiego

EUGENII ŻMIJEWSKIEJ.

(Ciąg dalszy).

„Przywieźli biedaczkę na zamek i osadzili ją w komnacie wieżowej, Hugon i jego towarzysze zasiedli do nocnej uczty, wedle zwyczaju. Słysząc ich pijackie wrzaski, dziewczyna truchlała, lecz była z natury dzielną, więc opanowała strach i postanowiła ratować się. Ogromna brzoza osłaniała i do dziś dnia osłania okno tej narożnej komnaty. Dziewczę uczepiło się jej gałęzi i spuściło się po nich na dół, a dostawszy się na swobodę, łąkami i polami biegło do fermy swego ojca, oddalonej o trzy mile od zamku.

„Wkrótce potem, Hugon, zostawiwszy swoich kompanów przy butelkach i kartach, podążył do swojej ofiary, a widząc, że ptaszek opuścił klatkę, jak szalony powrócił do komnaty biesiadnej, wytłukł szkło i wśród okropnych przekleństw i złorzeczeń zaprzysiągł, że odda ciało i duszę djabłu, jeśli ten dopomoże mu odzyskać dziewczynę. Pijani towarzysze słuchali go w przerażonem milczeniu, tylko jeden, gorszy, a może bardziej pijany od innych, poddał myśl, aby za dziewczyną puścić w pogoń psy podwórzowe.

„Słysząc to Hugon, wybiegł przed dom, zwołał chłopców stajennych, kazał im osiodłać swoją klacz ulubioną i spuścić psy z łańcuchów; jednemu, najdzikszemu, dał do powąhania chustkę dziewczyny, zostawioną w narożnej komnacie, i popędził przez łąki w noc księżycową.

„Towarzysze hulanki rzucili się do koni, chwycili pistolety i pognali za swoim amfitrjonem, a było ich razem trzynastu. Księżyc świecił jasno, pędzili galopem drogą, którą musiała uciekać dziewczyna, jeśli podążyła do domu.

„Ujechali z półtory mili, gdy spostrzegli nocnego pas ucha. Pytali go, czy nie widział brytanów. Wystraszony, odparł, że przed chwilą biegły za jakąś dziewczyną.

— „Ale widziałem coś więcej — mówił. — Hugon Baskerville pędził tędy na swojej karej klaczy, a za nim leciał jakiś pies okropny, czarny, jakby szatan wcielony. Niech mnie Bóg broni, żebym kiedy jeszcze miał spotkać podobnego potwora na mojej drodze.

„Pijani towarzysze cisnęli pastuchowi przekleństwo i pognali naprzód. Ujechali jeszcze z pół mili. Nagle włosy stanęły im dębem ze strachu, bo oto przed nimi pędziła klacz kara, kryta pianą, bez siodła i bez jeźdźca.

„Towarzysze zbili się w gromadkę, bo ich strach oblatywał, lecz jechali dalej, choć każdy z nich, gdyby był sam, zawróciłby konia i uciekł do zamku, ale jeden wstydził się drugiego. Człapiąc wolno, zrównali się wreszcie z brytanami; te, choć znane w całej okolicy ze swej zajadłości, leżały teraz w rowie, wystraszone, i wyły przeraźliwie.

„Kompania zatrzymała się. Jeźdźcy otrzeźwieli odrazu. Jedni chcieli zawracać, drudzy postanowili przekonać się, co zaszło. Księżyc świecił tak jasno, że można było szpilki zbierać.

„O milę dalej, na polu, sterczały wysokie kamienie. Pomiędzy nimi leżała dziewczyna martwa, a opok niej Hugon Baskerwille — nieżywy.

„Ale nie ten widok, choć straszny i niespodziany, najeżył włosy pijackiej kompanji; straszniejszy obraz przedstawił się ich oczom: nad zwłokami Hugona stał pies czarny, ogromny, wyszczerzał zęby i błyskał ślepiami. Jeden z towarzyszów padł na miejscu, rażony strachem, drugi utracił zmysły, reszta hulaszczej kompanji do końca życia nie zapomniała tego wrażenia.

„Taką jest, moi synowie, legenda o psie, który od owego czasu trapił naszą rodzinę. Spisałem ją, abyście wiedzieli, jak się rzeczy istotnie miały i nie wierzyli krążącym baśniom. Nie będę taił przed wami, że po tym wypadku, wielu mężczyzn w naszym rodzie umarło śmiercią nagłą krwawą i tajemniczą. Jednak nie traćmy wiary w miłosierdzie Boskie, które karci niewinnych, tylko do trzeciego lub czwartego pokolenia. Opatrzności Boskiej, moi synowie, was polecam i ostrzegam, abyście nie przechodzili przez tę łąkę po nocy, gdy złe duchy są rozkiełzane".

(To są przestrogi Hugona Baskerville, spisane dla jego synów, Rogera i Jana, z rozkazem, aby o tem wszystkiem nie wspominali swej siostrze, Elżbiecie).

* * *

Doktor Mortimer skończył czytać tę niezwykłą opowieść, nasunął na oczy okulary i spojrzał na pana Sherloka Holmes. Ten ziewnął i rzucił papierosa w ogień.

— No i cóż? — rzekł.

— Czy historja ta nie jest interesującą?

Zapewne, dla zbieracza starych legend i baśni.

Doktor Mortimer wyjął z kieszeni gazetę.

— A teraz, panie Holmes — rzekł — pokażę panu coś aktualniejszego. Oto dziennik „Devon County Chronicle“ z dnia 14-go maja roku bieżącego. Jest w nim opis faktów, odnoszących się do sir Karola Baskerville, która zdarzyła się na kilka dni przed ową datą.

Mój przyjaciel nachylił się i począł słuchać uważniej. Doktor Mortimer czytał:

„Niedawna i nagła śmierć sir Karola Baskerville, kandydata liberalnego z hrabstwa Devon, przejęła całą naszą okolicę zdumieniem i trwogą. Jakkolwiek sir Karol Baskerville mieszkał w Baskervile Hall od niedawna, lecz jego uprzejmość, hojność i szlachetność, zjednały mu szacunek tych wszystkich, którzy mieli z nim do czynienia. W dzisiejszej epoce parweniuszów miło jest widzieć potomka starożytnego a podupadłego rodu, odzyskującego fortunę swych przodków i przywracającego świetność staremu nazwizku.

„Sir Karol, jak wiadomo, zyskał duży majątek na spekulacjach w Afryce południowej, a będąc z natury przezornym, nie kusił dalej szczęścia, które mogłoby się od niego odwrócić, jak to czyni z innymi, i zrealizowawszy swoją fortunę, powrócił do Anglii.

„Przed dwoma laty zaledwie osiadł w Baskerville Hall, znane są jego szerokie plany odnowienia starej siedziby i wprowadzenia ulepszeń w gospodarstwie rolnem. Śmierć przeszkodziła ich urzeczywistnieniu.

„Badąc bezdzietnym, pragnął aby cała okolica korzystała z jego fortuny i niejeden z sąsiadów ma ważne powody do opłakiwania jego przedwczesnego zgonu. Donosiliśmy często na tych szpaltach o jego hojnych ofiarach na instytucje publiczne.

„Śledztwo nie wyjaśniło dotychczas okoliczności, towarzyszących śmierci sir Karola. Krążą tu najdziwaczniejsze legendy, przypisujące ów nagły zgon działaniu sił nadprzyrodzonych.

„Sir Karol był wdowcem, uważano go powszechnie za dziwaka. Pomimo dużej fortuny, miał przyzwyczajenia proste, skromne. Personał służbowy w Baskerville Hall, składał się z kamerdynera, nazwiskiem Barymore, jego żony, kucharki i gospodyni w jednej osobie. Oboje zeznają, że zdrowie sir Karola w ostatnich czasach było nie tęgie, że rozwijała się w nim choroba serca, objawiająca się bladością, brakiem tchu i częstemi omdleniami. Doktor Jerzy Mortimer, przyjaciel i domowy lekarz nieboszczyka, złożył zeznanie w tym samym duchu.

„Sir Karol Baskerville zwykł był co wieczór, przed pójściem na spoczynek, przechadzać się po słynnej alei wiązów przed zamkiem. Małżonkowie Barymore opowiadają, że wieczorem 4-go maja, ich pan oznajmił im, że nazajutrz wyrusza do Londynu i kazał pakować kuferek.

„Owego wieczoru wyszedł, jak zwykle, na przechadzkę, wśród której wypalał cygaro.

„Z tej przechadzki już nie powrócił.

„O dwunastej Barrymore, widząc drzwi frontowe jeszcze otwarte, zaniepokoił się, i wziąwszy latarnię, poszedł szukać swego pana. W ciągu dnia deszcz padał, więc łatwo było dojrzeć ślady stóp sir Karola wzdłuż alei. W połowie drogi jest furtka, prowadząca na łąkę.

„Były ślady, że sir Karol stał przy niej przez czas pewien, następnie skręcił znowu w aleję. Znaleziono jego trupa na jej końcu.

„Pomiędzy innemi dotychczas nie wyjaśniono jednego faktu, wynikającego z zeznań Barrymora, a mianowicie, że ślady kroków jego pana zmieniły się z chwilą, gdy stał przy furtce i że odtąd szedł na palcach.

„Niejaki Murphy, cygan, handlujący końmi, znajdował się wówczas na łące, w pewnej odległości od nieboszczyka, ale sam przyznaje, że był pijany. Powiada, że słyszał krzyki, ale nie może określić, skąd wychodziły.

„Na ciele sir Karola nie było śladów przemocy lub gwałtu, a chociaż lekarz zeznaje, że wyraz twarzy nieboszczyka był tak zmieniony, że on, doktor Mortimer, w pierwszej chwili poznać go nie mógł, rzeczoznawcy tłómaczą to anewryzmem serca, przy którym zachodzą podobne objawy.

„Sekcja wykazała przedawnioną wadę serca, sędzia śledczy potwierdził badanie lekarskie. Pożądanem jest, aby spadkobierca sir Karola mógł objąć jaknajprędzej majątek i prowadzić dalej chlubną działalność, przerwaną tak nagle i tak tragicznie.

„Gdyby prozaiczne orzeczenie sędziego śled czego i rzeczoznawców nie położyło końca romantycznym historjom, krążącym na temat owej śmierci, nie łatwo byłoby znaleźć właściciela Baskerville Hall.

„Domniemanym spadkobiercą jest pan Henryk Baskerville, syn młodszego brata sir Karola. Ów młodzieniec przed kilku laty wyruszył do Ameryki. Zarządzono poszukiwania. Dowie się on zapewne niebawem o zmianie swego losu“.

Doktor Mortimer złożył gazetę i wsunął ją do kieszeni, mówiąc:

— To są fakty, powszechnie znane.

— Dziękuję panu za zwrócenie mojej uwagi na sprawę istotnie ciekawą — rzekł pan Holmes. — Czytałem o niej, co prawda, w dziennikach, ale w owym czasie byłem zajęty kameami, które zniknęły z muzeum Watykańskiego. Chciałem się przysłużyć Papieżowi i straciłem z oczu to, co się jednocześnie działo w Anglji. Ten artykuł, powiadasz pan, zawiera fakty, znane powszechnie?

— Tak.

— Zechciej więc pan uwiadomić mnie teraz o tem, czego nikt nie wie.

Sherlock Holmes oparł się o poręcz fotelu i znowu złożył ręce tak, aby palce stykały się końcami.



ARTUR GROTTGER: CZYSZCZENIE BRONI.

— Uczynię to — rzekł doktor Mortimer, zdradzając coraz większe wzburzenie. — Powiem panu to, czego nie mówiłem jeszcze nikomu. Zataiłem to przed sędzią śledczym z pobudek, które pan zapewne zrozumie. Jako człowiek nauki, nie chciałem zdradzać się publicznie, iż wierzę w przesądy. Dalej, rozumiałem, że gdyby utwierdziła się wiara w nadprzyrodzone siły, rządzące w Baskerville Hall, nikt nie zechciałby objąć starego zamku w posiadanie. Dla tych dwóch powodów nie zeznałem przed sądem wszystkiego, co wiem — albowiem nie zdałoby się to na nic sędziemu śledczemu — ale z panem będę zupełnie szczery.

„Okolica jest mało zaludniona, rezydencje rzadkie, a siedziby włościańskie rozrzucone na znacznej odległości od siebie.

„Widywałem często sir Karola Baskerville, który był spragniony towarzystwa. Oprócz p. Frankland w Lafterhall i naturalisty, p. Stapleton, w pobliżu niema ludzi inteligentnych. Sir Karol był skryty, małomówny. Zbliżyliśmy się z powodu jego choroby, przytem łączyły nas wspólne upodobania naukowe. Przywiózł wiele ciekawych wiadomości z Afryki Południowej. Spędziliśmy niejeden miły wieczór na rozprawach o anatomii porównawczej.

„W ciągu ostatnich paru miesięcy spostrzegłem, że system nerwowy sir Karola był nadwerężony. Wziął tak dalece ową legendę do serca, że choć co wieczór odbywał spacery, nic go nie mogło skłonić do wejścia na łąkę po zachodzie słońca. Prześladowała go wciąż obawa upiorów, i pytał mnie nieraz, czym nie widział jakiego dziwacznego stworzenia i czym nie słyszał szczekania. Te pytania zadawał mi zawsze głosem drżącym.

„Wraziła mi się w pamięć jedna z moich wizyt u niego przed trzema tygodniami. Stał w sieni. Gdym schodził z wózka, spostrzegłem, że patrzy po przez moje ramię ze strachem w oczach. Odwróciłem się i spostrzegłem jakiś kształt dziwny, podobny do dużego, czarnego cielęcia. Przeleciało to po za moim wózkiem.

„Sir Karol był tak wzburzony, że poszedłem szukać tego osobliwego zwierzęcia. Ale nigdzie go nie było. Mój pacjent nie mógł się uspokoić. Zostałem z nim przez cały wieczór i wtedy, tłómacząc swe wzburzenie, opowiedział mi całą tę historję.

„Wspominam o tym drobnym epizodzie, gdyż nabiera on znaczenia wobec tragedji, która potem nastąpiła; na razie nie przywiązywałem do tego wagi i dziwiłem się wzburzeniu sir Karola.

„Miał jechać do Londynu z mojej porady. Wiedziałem, że jest chory na serce i że ciągły niepokój źle wpływa na jego zdrowie. Sądziłem, że parę miesięcy, spędzonych na rozrywkach, uwolni go od tych mar i przywidzeń. Nasz wspólny przyjaciel, pan Stupleton, był tego samego zdania. I oto wynikło nieszczęście.

„Zaraz po śmierci sir Karola, kamerdyner Barrymore wyprawił do mnie grooma Perkinsa; przybyłem do Baskerville Hall w godzinę po katastrofie. Zbadałem wszystkie fakty, przytoczone w śledztwie. Szedłem śladami, pozostawionemi w Alei Wiązów, obejrzałem miejsce przy furtce, gdzie sir Karol zatrzymał się, i zmiarkowałem, że od owego miejsca szedł na palcach i że nie było śladu innych kroków, oprócz późniejszych, Barrymora. Wreszcie obejrzałem starannie zwłoki, które pozostały nietknięte do mego przybycia.

„Sir Karol leżał na wznak z rozciągniętemi rękoma, jego twarz była tak zmieniona, że zaledwie mogłem ją poznać. Na ciele nie było żadnych obrażeń. Ale Barrymore w toku śledztwa uczynił jedno zeznanie fałszywe. Powiedział, że nie było żadnych śladów dokoła trupa. Nie spostrzegł ich, ale ja dostrzegłem — zupełnie świeże, w pobliżu.

— Czy ślady kroków?

— Tak.

— Męzkie, czy kobiece?

Doktor Mortimer patrzył na nas przez chwilę dziwnemi oczyma, wreszcie odparł szeptem:

— Panie Holmes, były ślady kroków... psa... olbrzymiego.

III.

Zagadka.

Przyznaję, że gdym słuchał tego opowiadania, przebiegały po mnie dreszcze. I doktor był żywo poruszony.

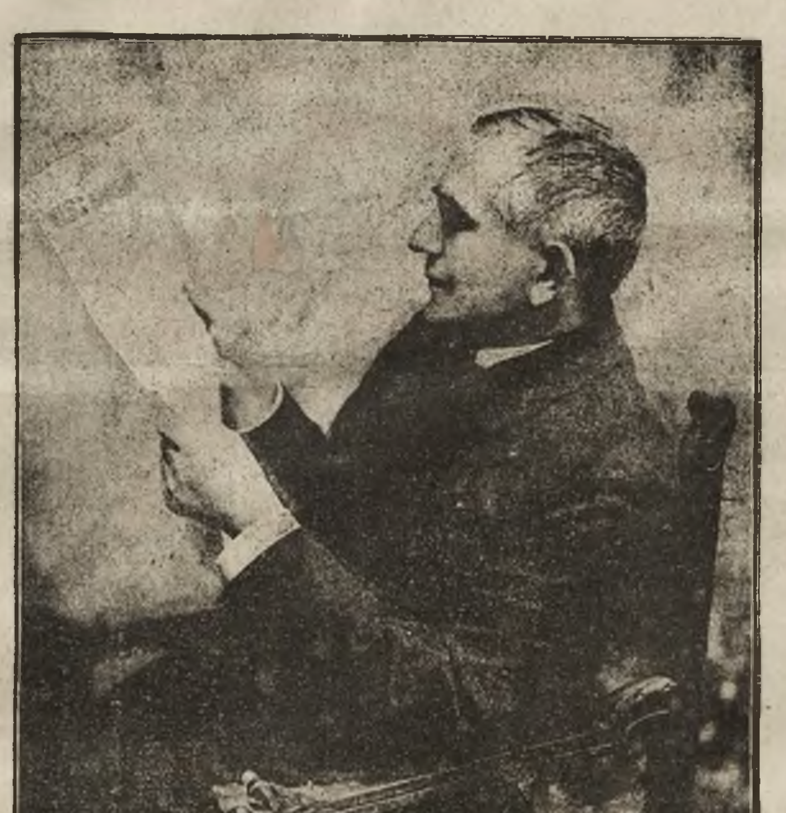
— Widziałeś pan te ślady? spytałem.
— Tak na własne oczy; tak wyraźnie, jak teraz widzę pana.
— I nic pan nie mówiłeś?
— Poco?
— Dlaczego nikt inny nie dostrzegł tych śladów?
— Pozostały o jakie dwa łokcie od trupa; nie zwrócono na nie uwagi i jabym ich nie zauważył, gdybym nie był znał tej legendy.
— Dużo jest psów w okolicy?
— Tak, ale to nie był zwykły pies. Powiedziałem już panom, że był ogromny.
— Czy nie zbliżył się do trupa?
— Nie.
— Czy noc była jasna?
— Nie; pochmurna i wilgotna.
— Ale deszcz nie padał?
— Nie.
— Jak wygląda aleja?
— Jest wysadzana dwoma rzędami wiązów i opasana żywopłotem, wysokości 12 stóp. Sama aleja ma 8 stóp szerokości.
— Czy jest co pomiędzy żywopłotem a aleją?
— Tak; po obu stronach biegnie trawnik, szerokości 6 stóp.
— O ile zrozumiałem, jest wejście przez furtkę?
— Tak, furtka prowadzi na łąkę.
— Czy są inne wejścia?
— Niema.
— Tak, iż aby wkroczyć w Aleję Wiązów, trzeba wyjść z domu, lub iść przez łąkę?
— Jest trzecie wejście przez altanę, na drugim końcu alei.
— Czy sir Karol doszedł do tej altany?
— Nie, znaleziono go o pięćdziesiąt łokci od niej.
— A teraz zechciej mi pan powiedzieć, doktorze Mortimer — będzie to szczegół ważny — czy ślady, któreś pan spostrzegł, pozostały na żwirze, czy na trawie?
— Nie mogłem dojrzeć śladów na trawie.
— Czy ślady były po tej samej stronie, co furtka?
— Tak, po tej samej.
— Bardzo mnie pan zaciekawia. Jeszcze jedno pytanie. Czy furtka była zamknięta?
— Zamknięta na klucz i zaryglowana.
— Jak jest wysoka?
— Ma około 4-ch stóp.
— A więc można ją łatwo przesadzić?
— Tak.
— A jakie ślady znalazłeś pan przy furtce?
— Żadnych, któreby mogły zwrócić uwagę.
— Czyżeś pan nie oglądał ziemi dokoła?
— I owszem, oglądałem.
— I nie dostrzegłeś pan żadnych śladów?
— Były bardzo niewyraźne. Widocznie sir Karol stał tutaj przez pięć do dziesięciu minut.
— Skąd pan to wie?
— Gdyż popiół z cygara spadł dwa razy na ziemię.
— Wybornie. Znaleźliśmy kolegę wedle naszego serca. Prawda Watson? Ale jakież to były ślady?
— Ślady stóp na żwirze. Innych znaków dostrzedz nie mogłem.
Sherlock Holmes uderzył ręką w kolano.
— Czemu mnie tam nie było! zawołał. — Jest to wypadek bardzo ciekawy, dający obfite pole do naukowej ekspertyzy. Czemuż nie mogłem odczytać tej żwirowej karty, zanim ją zatarły inne stopy! Doktorze Mortimer, że też mnie pan nie uwiadomił wcześniej! Jeśli nam się nie uda wyświetlić sprawy, cała odpowiedzialność spadnie na pana.
— Nie mogłem pana wzywać, panie Holmes, bo w takim razie musiałbym ujawnić te fakty przed całym światem. a mówiłem już, żem sobie tego nie życzył. Zresztą... zresztą...
— Czemu pan nie kończysz?
— Bywają dziedziny, niedostępne nawet dla najbystrzejszych i najdoświadczeńszych detektywów...
Chcesz pan powiedzieć, że wchodzi to w zakres rzeczy nadprzyrodzonych?
— Tego nie twierdzę stanowczo.
— Ale pan tak myślisz w głębi ducha.
— Od owej tragedji doszły do mojej świadomości fakty, sprzeczne z ogólnemi prawami natury.
— Naprzykład?
— Dowiaduję się, że przed tą katastrofą, kilku ludzi widziało na łące niezwykłe stworzenie, podobne do złego ducha Baskervillów. Wszyscy mówią, że był to pies ogromny, przeźroczysty. Wypytywałem tych ludzi — jeden z nich jest włościaninem, drugi kowalem, trzeci farmerem. Ich zeznania są jednakowe. W całej okolicy zapanował strach przesądny. Nikt po nocy nie przejdzie przez łąkę.
— I pan, człowiek nauki, wierzy w takie baśnie? zawołał Holmes.
— Dotychczas moje badania ogarniały świat zmysłów; usiłowałem walczyć z chorobą, ale ze złymi duchami walczyć nie umiem. Zresztą musisz pan przyznać, że ślady stóp są dowodem materjalnym. Pies Hugona nie był także zjawiskiem nadprzyrodzonem, skoro mógł zagryźć na śmierć, a jednak miał w sobie coś szatańskiego.
— Widzę, że pan przeszedłeś do obozu spirytystów. Ale zechciej mi powiedzieć jeszcze jedno, doktorze Mortimer. Jeżeli pan skłaniasz się ku takim zapatrywaniom, dlaczego przyszedłeś zasięgnąć mojej rady? Powiadasz pan jednym tchem, że nie warto przeprowadzać śledztwa w sprawie zabójstwa sir Karola, a jednocześnie prosisz mnie, żebym się tą sprawą zajął.
— Nie prosiłem o to.
— Więc w jaki sposób mogę panu dopomódz?
— Radząc mi, co mam zrobić z sir Henrykiem Baskerville, który przybywa na dworzec Waterloo — doktor Mortimer spojrzał na zegar, za godzinę i kwadrans — dokończył.
— Czy on jest spadkobierbą?
— Tak. Po śmierci sir Karola zasięgaliśmy wiadomości o tym gentlemanie i dowiedzieliśmy się, że ma fermę w Kanadzie. Wedle naszych informacyj, jest to młodzieniec bez zarzutu. Nie mówię teraz jako lekarz, lecz jako wykonawca testamentu sir Karola.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Juliusz Jejde.

Redakcja naszego pisma i teatr krakowski obchodzą równocześnie w dniu 27 bm. prawdziwe święto.

Długoletni członek naszej redakcji, a artysta teatru krakowskiego pan Juliusz Jejde obchodzi



JULIUSZ JEJDE.

w tym dniu jubileusz czterdziestoletniej pracy na scenie polskiej.

Czterdzieści lat pracy dla sztuki! — Pracy wiernej, szlachetnej, czterdzieści lat niestrudzonej służby pod sztandarem Piękna! Siwizną przypruszyły się włosy dzielnego wiarusa, pomarli koledzy, pomarli współtowarzysze lat młodzieńczych, zmieniła się fizyognomia teatrów w Polsce, zmieniły się upodobania, repertuar, tyle imion zapomniano dawnych, tyle nowych gwiazd zabłysło, czas przeszedł ciężkiem kołem po starych tradycjach.

Niewielu już zostało rówieśników Jejdego, spadkobierców tych tradycyj: w teatrze zaś krakowskim on jeden.

I dlatego gdy w dniu 27 grudnia r. b. obchodzić będziemy święto jego jubileuszu, to równocześnie jakby oddamy hołd tym starym tradycjom, hołd najświetniejszej dobie rozwoju talentów, aktorskich w Polsce. Z tym hołdem pośpieszymy wszyscy.

* * *

Urodzony w r. 1843 w Konstantynowie w Królestwie Polskiem, początki zawodu scenicznego rozpoczął Jejde w chórach Opery Warszawskiej. Równocześnie kształci się w szkole dramatycznej teatrów warszawskich pod kierunkiem Chęcińskiego.

Na okoliczność tę należy zwrócić baczniejszą uwagę.

Sześćdziesiąte lata, w których Jejde wstępuje do szkoły dramatycznej, należą do lat najświetniejszego rozkwitu sceny warszawskiej. Równocześnie i obok siebie pracują legendarne już dzisiaj w świecie aktorskim postacie: Żółkowski, Bakałowiczowa, Rakiewiczowa, Rychter, (w tych czasach reżyser po i przed Chęcińskim), Swieszewski, trochę później Rapacki; żyje jeszcze wówczas i cuda stwarza Panczykowski; obok niego tacy komicy jak Damse, Chomiński i Ostrowski. Są to najlepsze również lata Chęcińskiego, dobija się sławy Królikowski.

Młody zastęp późniejszych artystów, a wśród nich tacy jak Leszczyński, Tatarkiewicz Jan, Szymanowski, Wolski, Jejde patrzy się na grających na scenie, jak na ludzi nie z tego świata, ale z cudu, z bajki, z legendy. Dusze ich porywa nieobjęty pęd ku sztuce, zapał unosi, kult hartuje. I zapał ten a kult, gdyby testament wielkiej romantycznej doby na scenie Warszawskiej zostaje w ich sercach na zawsze. Widzi się to dziś jeszcze po tych ludziach.

Gdy Leszczyński w Warszawie wejdzie w „Mazepie“ na scenie i wypowie pierwsze słowa Słowackiego: „A przy armatach trzymać zapalone lonty!“ — czujesz, że z nim na scenę wyszedł wielki duch Sztuki. — W mniejszych rolach, w skromniejszych zadaniach Jejde wnosi jednak przecie ten sam duch niezmiernego poszanowania, gorącej czci dla wszystkiego, co jest sztuką, a więc rzeczy, szacunku i czci godnej.

Ze szkoły dramatycznej, z tradycyi najlepszych deklamatorów wynosi też Jejde niepospolity kunszt deklamatorski. Aktor dzisiejszy, przeważnie mówi wiersz właśnie bez kunsztu deklamacja jest dla niego środkiem, nie celem. Jejde do dziś dnia pozostaje wiernym metodzie romantycznej. Z jego ust wiersz wychodzi nieskazitelny, zdobny we wszystkie wnętrzne właściwości rytmu — żyje życiem rytmu. Spotykamy i takie role wierszowane Jejdego, w których nie mówi więcej nad dziesięć, piętnaście zdań, ale po pierwszem jego słowie odbiera się wrażenie, jakby jego „kwestyą“ napisano jakimś innym wierszem, rytmiczniejszym, bardziej celowo dla siebie stworzonym. To jest w deklamacji Jejdego również spadkiem starej legendowej tej szkoły.

W r. 1862 Teatr Rozmaitości zaciąga Jejdego do składu artystów dramatycznych. Starzy recenzenci warszawscy, którzy pamiętają te czasy, lubią wypominać jego nazwisko, gdy piszą o takich sztukach jak „Pamiętniki Szatana“, „Portrety kochanka i męża“, „Postanowienia“ i w. i. W tego rodzaju sztukach Jejde celuje.

„Pamiętniki Szatana“ wystawia też teatr krakowski w dniu 27 b. m. na benefis jubilata.

W tych sześćdziesiątych latach, Jejde staje się w Warszawie ulubionym deklamatorem. Jubilat lubi wspominać np. o koncertach „Orfeonistów“ z r. 1868, na których wzbudzał nie sympatję już, ale entuzjazm.

W roku 1870 opuszcza scenę warszawską i przenosi się do towarzystwa prowincjonalnego ś. p. Anastazego Trapszy: w roku 1875 angażują go do składu artystów teatru poznańskiego, gdzie pod kierunkiem ś. p. Józefa Rychtera i w dyrekcji ś. p. Doroszyńskiego, staje się ulubieńcem publiczności poznańskiej. W r. 1876 przebywa po raz pierwszy rok cały na scenie krakowskiej, gdzie z powodzeniem występował w operetkach i komedjach, poczem znowu wrócił na scenę poznańską. W sezonie zimowym Trapszo zabiera go ponownie do swej trupy i powierza mu reżyserję.

W roku 1880 z Romanem Czartoryskim założył własną trupę w Łodzi, atoli zaskoczony żałobą dworską rosyjską i nie mogąc się doczekać wykończenia teatru letniego Selina, przenosi się do Kalisza. Wycofał się jednak z dyrekcji i wrócił do Doroszyńskiego. Doroszyński powierzył mu reżyserję. Po śmierci Doroszyńskiego i po rozwiązaniu trupy Kościeleckiego, jakiś czas pracował jako artysta i reżyser w trupach Leśniewskiego, a następnie Puchniewskiego, aż w r. 1883 został pono-

wnie zaangażowany na scenę krakowską, na której stale pracuje do tej pory.

Tułaczka prowincjonalna, tułaczka aktora polskiego, przymierającego nieraz głodem i chłodem, a przecie tak dziwnie doprawdy rzewna nawet, bo z wieczystym płomieniem zapału — tułaczka ta skończona. Jejde przez 20 ostatnich lat pozostaje wiernym Krakowowi, scenie, tembardziej, że od kilku lat z pracą teatralną, łączy obowiązki sprawozdawcy kronikarskiego w redakcji „Głosu Narodu“.

„Głos Narodu“ też pierwszy pragnie kochanemu Jubilatowi, a wiernemu koledze zasłać szczere braterskie życzenia „długich, długich lat!“

Adam Siedlecki.

A. P. CZECHOW.

CHIRURGIA

Rzecz dzieje się w szpitalu, zarządzanym przez Ziemstwo. Pod nieobecność lekarza, który pojechał żenić się, chorych przyjmuje felczer Kuriatin, człowiek otyły, liczący około 40 lat, odziany w żakiet z surowego jedwabiu i wystrzępione sukienne pantalony. Na obliczu jego maluje się wyraz poczucia obowiązku i zadowolenia. Pomiędzy wskazującym a średnim palcem lewej ręki trzyma cygaro, wydające niemiłą woń.

Do pokoju ordynacyjnego wchodzi djak Wonmigłasow, wysoki, barczysty starzec w cynamonowego koloru sutannie, przepasanej szerokim pasem skórzanym. Na prawem oku ma bielmo, i oko to jest na pół przymknięte, na nosie zaś tkwi brodawka, podobna zdaleka do wielkiej muchy. Przez chwilę djak szuka oczyma ikony, lecz nie znajdując jej nigdzie, żegna się przed olbrzymią butlą z kwasem karbolowym, następnie zaś wydobywa z czerwonej chustki chleb święcony i składa go z pokłonem felczerowi.

— Aaa... moje uszanowanie! — mówi felczer, ziewając. Cóż was tu sprowadza?

— Składam życzenia przy niedzieli, Sergiuszu Kuźmiczu... przychodzę do waszej łaskawości... Słusznie i sprawiedliwie powiedziane jest w psałterzu, z przeproszeniem: „Napój mój mieszałem z płaczem“. Siadłem oto kilka dni temu z moją staruchą do picia czaju, a tu ani rusz, mój Boże, ani kropelki, ani kapeczki, taki ból, że tylko kładź się i umieraj... Łykną cokolwiek a tu wytrzymać trudno! A oprócz tego, że w samym zębie i w całej połowie twarzy jeszcze... Rwie i łupi! W uchu tak strzyka, z przeproszeniem, jakby kto gwoździk albo inny przedmiot wbijał: strzyka i strzyka! Zgrzeszyłem i złość uczyniłem... Sprośnymi grzechami duszę mą skalałem, żywot mój cały w gnuśności pędziłem... Za grzechy, Sergiuszu Kuźmiczu, za grzechy! Proboszcz powiada mi po liturgii z wyrzutem: „Zająkliwym się stałeś i bełkoczesz, Jefimie. Śpiewasz tak, że trudno cię zrozumieć. A jakże tu śpiewać, osądźcie sami, jeśli człek gęby otworzyć nie może! wszystko spuchnięte, z przeproszeniem, i w nocy się oka nie zmrużyło...

— Hm... tak... Siadajcie... Otwórzcie gębę! Wonmigłasow siada i otwiera usta.

Kuriatin chmurzy się, patrzy w usta i wśród zębów pożółkłych pod wpływem czasu i tytoniu spostrzega jeden ząb, mocno wypróchniały.

— Ojciec djakon kazał przykładać wódkę z chrzanem — ale nie pomogło. Glikerja Anisimowna, daj jej Boże zdrowie, dała mi do noszenia na ręce, niteczkę z góry Athos i kazała płukać ząb ciepłem mlekiem, ale ja przyznam się, niteczkę przewiązałem, co się zaś tyczy mleka, to nie usłuchałem. Boga się boję, post....

— Przesąd... (pauza). Wyrwać go trzeba. Jefimie Micheiczu.

— Ano, wy tam lepiej wiecie, Sergjuszu Kuźmiczu... Na to się uczyliście, żeby się poznać, jak i co jest: czy wyrwać, czy kroplami lub tam czem innem... Na to już jesteście ustanowieni, daj wam Boże zdrowie, żebyście nas we dnie i w nocy ratowali, dobrodzieje i ojcowie nasi... Do grobowej deski..

— Głupstwo... wymawia się skromnie felczer, zbliżając się do szafy i przerzucając instrumenta. Chirurgia... głupstwo... Tu wszystko polega na wprawie, pewności ręki... Tyle co raz plunąć... Przed kilku dniami tak samo jak i wy, przyjeżdża do szpitala obywatel ziemski Aleksander Iwanycz Jegipietskij... Także z zębem. Człowiek wykształcony, o wszystko się wypytuje, wgląda we wszystko: jak i co. Rękę mi ściska, wita uprzejmie... Mieszkał przez siedm lat w Petersburgu, ze wszystkimi profesorami się znał... Długośmy tu gawędzili... Wreszcie zaklina mię na Chrystusa Pana: Wyrwij mi ząb, Sergjuszu Kuźmiczu! Dlaczegóżby nie? Wyrwać można... Tylko trzeba umieć, nie mając pojęcia o wyobrażeniu — nie można... Zęby różne bywają... Czasem rwie się obcęgami, czasem kozią stopką, czasem lewarkiem... Jak tam komu...

Felczer bierze jakieś narzędzie do ręki, przygląda mu się niezdecydowanie z minutę, następnie kładzie je i bierze obcęgi.

— No otwórzcie gębę szeroko... — mówi, zbliżając się z obcęgami do djaka. — Zaraz my go tu... tego... Tyle co raz plunąć... Naprzód trzeba przeciąć dziąsło... zrobi się trakcję prostopadłę osi... i koniec... (nacina dziąsło)... i koniec...

— Dobrodziejami dla nas jesteście... Nam to ani na myśl, głupcom, nie przyjdzie, a was Pan Bóg oświecił...

— Nie rozprawiajcie, gdy macie otwartą gębę... Z tym łatwo pójdzie, ale zdarza się, że są tylko same korzenie... Ten, to raz plunąć... (zakłada obcęgi). Czekajcież, nie kręćcie się... Siedźcie spokojnie... W okamgnieniu... (wykonuje trakcję). Główna rzecz, żeby uchwycić jaknajgłębiej (ciągnie)... żeby się korona nie urwała...

— Ojcowie święci .. Matko przenajświętsza... Uuuu...

— Nie tego, nie tego... jakże się nazywa? Nie czepiajcie się rękami! (ciągnie) Puszczajcież mi ręce! Zaraz będzie... O-oo! Niełatwa sprawa przecie...

— Ojcowie... Opiekunowie... (krzyczy) Aniołowie pańscy! Oj-oj-oj! Rwijże już rwij! Czemuż pięć lat ciągniesz?

— Niby to taka bagatela... Chirurgja... Odrazu nie można... O już już...

Wonmiglasow podnosi kolana aż do łokci, przebiera palcami, wytrzeszcza oczy, oddycha przerywanie... Na purpurowe oblicze występuje mu pot kroplisty, a z ócz płyną mu łzy... Kuriatin sapi, drepce przed djakiem i ciągnie... Upływa pół minuty - najstraszliwszej męczarni, wreszcie — obcęgi ześlizgują się z zęba. Djak zrywa się i wkłada palce do ust, gdzie namacuje ząb na dawnem miejscu.

— Ciągnąłeś! — mówi płaczliwym a zarazem szyderskim głosem. — Żeby ciebie tak na tamtym świecie pociągnęli! Kłaniam uniżenie! Kiedy nie umiesz rwać, to się nie bierz! Świata Bożego nie widzę...

— A pocóż czepiasz się rękami? — irytuje się felczer. — Ja ciągnę, a ty mnie łapiesz za rękę i różne głupie słowa pleciesz... Głupiec!

— Tyś sam głupiec!

— A ty myślisz chamie, że to tak łatwo ząb wyrwać? Spróbójno. To nie to samo, co wleźć na dzwonnicę i odbębnić w dzwony! (przedrzeźniając) „Nie umiesz, nie umiesz!“ Patrzcie go, jaki mądrala! A żebyś wiedział... Panu Jegipietskiemu, Aleksandrowi Iwanyczowi, rwałem, a on nic, żadnych głupstw... Człowiek chyba delikatniejszy od ciebie, a nie czepiał się rękami... Siadaj! siadaj, powiadam ci!

— Świata nie widzę... Dajże mi odpocząć... Och! (siada) Tylko nie ciągnij tak długo a rwij! Rwij odrazu!

— Uczonego będziesz uczył! Miły Boże, jakiż to naród nieokrzesany! Żyj tu wśród takich... to i sam ogłupiejesz! Otwórz gębę... (zakłada obcęgi). Chirurgja, bratku, to nie żarty... Nie to, co beczeć na chórze... Nie wierć się... Ząb widać, zastarzały, głęboko korzenie zapuścił... (ciągnie). Nie ruszaj się... nie ruszaj... Tak... tak... No, no... (słychać chrupnięcie). Tak, jak mówiłem! Wonmigłasow siedzi nieruchomie z minutę, jakby bezprzytomny. Jest oszołomiony... Wzrok ma utkwiony bezmyślnie w przestrzeń, pot spływa po jego bladej twarzy.

— Trzeba było użyć koziej stópki... mruczy felczer. — A to okazja!

Oprzytomniawszy cokolwiek, djak wsadza palce do ust i namacuje dwa sterczące występy.

— Djable przeklęty... — mruczy. — Nasprowadzali was tu, herodów, na naszą zgubę.

— Wymyślaj jeszcze.... odpowiada felczer! chowając obcęgi do szafy. Ciemięga... Mało cię widać brzeziną rozumu w bursie uczyli... Pan Jegipietskij, Aleksander Iwanycz, siedm lat w Petersburgu mieszkał.... człowiek wykształcony.... jedno ubranie jego warto sto rubli... a nie wymyślał... A cóżeś to ty za delikatek? Nic ci się nie stanie, nie zdechniesz!

Djak zabiera ze stołu chleb święcony i trzymając się ręką za szczękę, odchodzi do domu....

Tłóm. z ros. *G. W.*

Zamiast programu.

W dniu wielkiego święta chrześcijańskich rodzin i dziennik nasz pragnie wejść w bliższą duchową styczność ze swymi czytelnikami, którzy stanowią jakby jego najbliższą rodzinę. — Z dumą i radością spoglądamy na liczbę i wzrost tego grona, które nas otacza, czyta odczuwa i rozumie myśl naszą i pracę naszą. „Głos Narodu“ czerpie wszystkie swoje siły i swoją rację bytu wyłącznie u czytelników swoich. Jest on jedynym może dziennikiem politycznym, który obywa się bez subwencyj i zasiłków, który niema bogatych akcjonarjuszów i nie opiera się o wielkie instytucje finansowe. Z myśli naszych, z zasad głoszonych w dzienniku wypływa jego istnienie, na nich opiera się jego przyszłość i jego dalszy rozwój. Niezawisłość naszą, najcenniejszy klejnot publicznego życia, zawdzięczamy czytelnikom i prenumeratorom naszym, a że oni nietylko nie opuszczają nas, ale owszem rosną w liczbę, więc wolno nam wierzyć, że przewodnie zasady „Głosu Narodu“ znalazły szeroki oddźwięk w całem społeczeństwie i są wiernym wyrazem jego potrzeb i uczuć.

Nie skrępowani ciasnymi programami stronnictw ścierających się w nieustannej a bezpłodnej walce, nie stoimy na usługach żadnej kliki lub frakcji, ale bronimy ogólnych ideałów, na których spoczywa przyszłość naszego narodu.

Nie przestaniemy zatem wzywać do szeregowania się pod sztandarem polskim i katolickim, bo w nim tylko nasza ostoja i nasze zbawienie. Nie przestaniemy dalej budzić czujności społeczeństwa wobec obcych żywiołów zagrażających nam ze wszystkich stron, a największe niebezpieczeństwo grozi nam od żydów, który usadowieni głęboko w naszym narodowym organiźmie, grają w nim rolę szkodliwego pasożyta. Czerpiąc bowiem z nas swoje soki żywotne, nic w zamian nie dają, szerząc natomiast różne społeczne i moralne choroby. Stąd też wypływa konieczność ochraniania narodowej pracy i popierania wszystkich gałęzi polskiej produkcji. Tylko wzmożenie naszych sił ekonomicznych może nam zapewnić należytą odporność wobec wrogów.

Pragniemy wreszcie utrzymać poczucie solidarności narodowej, i po za obrębem granic politycznych, i usiłujemy wszczepić przekonanie, że tylko przez zupełne zrównanie i zupełną harmonję stanów, przez podniesienie — do godności obywatelskiej i zrozumień obowiązków narodowych, możemy skruszyć wiekowe kajdany.

Tak pokierowana praca nasza, nie wątpimy, że znajdzie zawsze uznanie i sympatję całego grona czytelników „Głosu Narodu“.

Dziś wigilja!

Na ulicach zgiełk. Wszyscy się spieszą, potrącają się nawzajem, oczy im błyszczą, policzki rozczerwieniły się, każdy biegnie obładowany pakieckami, każdego ktoś będzie za chwilę witał serdeczniej niż zwykle, każdego ktoś oczekuje, niejeden żywi nadzieję, że wieczorem, przy wigilijnym stole, stanie się z nim coś, co zadecyduje o losach całego jego życia — bo to dzień dziwny, jedyny w roku, dzień, w którym ludzie nawet niereligijni doznają jakichś dziwnych wzruszeń, w którym odświeżają się w nich wspomnienia całego życia, w którym niejednemu wydaje się, że jest jeszcze dzieckiem i że go spotka za chwilkę radość podobna do tej, jaką uczuwał odbierając wymarzone zabawki.

Dobrze temu, kto może spędzić ten dzień w kółku kochanych, w rodzinie. Ale iluż nędzarzy przytulają nawet wtedy tylko brudne centowe noclegi, iluż nie zazna innego ciepła, nad ciepło szynkowni, iluż samotnie duma o jakiemkolwiek już towarzystwie w pustym zimnym pokoju,

gdzie za jedynego przyjaciela mają tyktak zegaru — iluż wreszcie błądzi po mieście lub po zaśnieżonych drogach i wie, że już nie ma na świecie nikogo.

A cóż mówić o więźniach? O tych, których społeczeństwo przeklęło, którzy wiedzą, że jeśli kto o nich myśli to tylko ze wstrętem?

A cóż mówić o naszych więźniach po pruskich fortecach i kazamatach, o naszych na dalekiej Północy zesłańcach?

Nigdzie chyba tęsknota za krajem, za polską mową, za listem z dalekiej ojczyzny nie może być tak straszliwą jak na tych niezmierzonych przestrzeniach wśród ludzi — półzwierząt, wśród zgrai szpiegów lub nieufnie patrzących krajowców, Jakutów, Ostiaków i jak się oni tam nazywają. Ci, którzy tę mękę przebyli twierdzą, że dnia tego właśnie byli bliscy obłędu. Nie bawiło ich nic, nie mogli czytać, ani spać, tylko ogarniała ich tępa apatja i niemoc, siedzieli bezwładnie z oczyma wlepionemi w ogień, zaciśniętemi ustami i nawet już nie myśleli o niczem. Ach żeby tylko przeszedł ten dzień, żeby to można gdzieś schować się pod ziemię, wpaść w letarg i zapomnieć o wszystkiem.

Dziwną jest moc dnia wigilji. Ludzie żyją zdwojonem życiem. Więcej kochają niż zwykle, więcej tęsknią niż zwykle, są lepsi, szczersi, naturalniejsi, prostsi.

Dziwnym jest dzień wigilijny. Może to wtedy najgrubsze natury odczuwają, że to dzień świąteczny w historji ludzkości, bo narodził się Ten, kto kochał najwięcej. Może... Ach pamiętajmy, że to dziś wigilja!

ENVOI.

Jak suche drzew szkielety, zwarzonych jesienią,
Strzelając w zimne niebo czarnymi konary
Mgłą dymią i zachodu się łuną czerwienią,
Jak na ołtarzach życia palone ofiary:

Tak ja, — gdy w rzeczywistość zbyt szybko się [mienią
Złudzenia, tracąc krasy oszukańczej czary, —
Nie mogąc tchnąć sił nowych gasnącym pragnie-[niom,
Otulam się we wspomnień mgliste, chłodne mary.

Kiedy nowa nadejdzie wiosna? O tęsknoto!
Tęsknoto życia, która lśnisz w zmarłego oku!
Przez ciebie dziwne jakieś baśnie mi się plotą...

„Nadzieja lśni, jak błędne światełko o zmroku",
A ja, żebrak, wpatrzony w szare życia błoto
Oczekuję z poddaniem nowego wyroku.

G. Porębski.

Myśl zbawicielka.

W ciche wiecz[ory] mistycznej tęsknoty —
W snów księżyc[o]wych milczącej zadumie,
W liści wróżebn[y]ch s[zeles]tującym szumie,
W skwarnym [u]pale słonec[zne]j spiekoty;

W godzinie trudów przez senne uploty
Troski w codziennym wijącej się tłumie,
W godzinie zwątpień w bezsilnej się dumie
Przez puszcz bezpłodnych wlokącej zawroty

Jesteś wciąż przy mnie, Jasna, niespożyta,
Błękitnych ogni ciepłym tchem spowita,
Ani cię jęki wichrowe nie zgłuszą.

Przez oczy senne i znużone skronie,
Raz wraz krzepiące przesuwasz mi dłonie,
Snów żywicielko, myśli mojej duszo!

Od Wydawnictwa.

Dla nowo przystępujących Prenumeratorów przeznaczamy jako premje bezpłatne:

„Taniec Lichwy" powieść oryginalna, przez Sylweryusza Kondratowicza.

„Kim" Kiplinga.

„Wspólwinni" Hektora Malot.

Początki powieści **„W obronie prawdy"** Józefa Rogosza.

„Zbrodnia w Kerguen" Cauvaina.

„Zięć firmy L. Feinband & Comp." Jana Mieroszewicza — i

„Tajemnice Baskerville'ów" Conon Doyle.

Prenumeratorzy kwartalni mają prawo do żądania wszystkich tych powieści. — Prenumeratorzy miesięczni mogą wybrać jedną z wyż wymienionych powieści.

Na porto każdej powieści prosimy dołączyć 40 halerzy.

Oprócz tego może być zamawiana przez naszą Administrację II tomowa powieść **„Marzyciele"** Józefa Rogosza za 1 kor. 50 hal.

Celem uregulowania nakładu i uniknięcia przerwy w wysyłce Dziennika, co przy noworocznym nawale pracy łatwo zdarzyć by się mogło — **prosimy o rychłe nadsyłanie przedpłaty** — która wynosi:

na prowincji

miesięcznie z opłatą porta	...	**2 k. 70 h.**
kwartalnie „ „	...	**8 „ —**
rocznie „ „	...	**32 „ —**

KRONIKA.

Kalendarzyk kościelny. Dziś środa Wigilja. Adama i Ewy; we czwartek Boże Narodzenie.

Kalendarz astronomiczny. Wschód słońca rozpoczął się dziś o godz. 7 minut 40, zachód przypada o godz. 3 mi nut 35 długość dnia godzin 7 minut 55.

Kupujcie tylko u Chrześcijan!

Kraków 24 grudnia.

„Głos Narodu" wyjdzie dziś o godzinie 2 po południu, na co zwracamy uwagę naszych czytelników.

Pogoda na święta zapowiada się bardzo ładna. Przy 6 stopniach mrozu niebo jest wypogodzone. Za to ulice w mieście są w opłakanym porządku. Chodniki są zasypane śniegiem i lodem i nikt nie myśli o ich oczyszczeniu.

Adama i Ewę witały dziś przed świtem krakowscy muzykanci brukowi, którzy licznych w mieście solenizantów i solenizantek witali marszami, walcami i polkami.

Wigilja w „Sokole". Od całego Szeregu lat „Sokół" święcąc chrześcijańskie tradycje, i narodowe obchody gromadził zawsze tłumy do obszernej sali, strojnej w godła chrześcijańskie i narodowe. I dziwić się wypada, że wczorajszy obchód łamania się opłatkiem i uczta wigilijna mogła liczebnie słabiej wypaść niżeli lat poprzednich. A jednak brakowało wczoraj wielu, którzy w latach poprzednich uczestniczyli w tej wspólnej chrześcijańskiej uczcie, przy której istotnie gromadziły się wszystkie stany, bez różnicy odcieni politycznych.

Oprócz posłów, który najliczniej przybyli i pięciu reprezentantów Rady miejskiej, brakło przedewszystkiem reprezentanta prezydjum miasta i magistratu.

Co więcej — stół zarezerwowany dla uczestników walki o niepodległość — zawsze gościnnie i z wyszczególnieniem przyjmowannch przez Wydział „Sokoła" — stół ten świecił pustkami, pomimo, że zaproszenia do Przytuliska wysłane były w należytym czasie.

Mimo to wigilja odbyła się według programu. Panowała tam niczem niezamącona serdeczność, której dał wyraz przemówieniem zacny kapelan „Sokoła" O. Anioł Madejewski.

Szereg toastów rozpoczął p. Michał Konopiński, który imieniem „Sokoła" wzniósł zdrowie reprezentacji miejskiej; druh dr St. Rowiński wzniósł zdrowie posłów; druh dr Bilicki w bardzo pięknych słowach wzniósł toast na cześć prasy; poseł Rotter pił na cześć duchowieństwa polskiego; dr L. Jaworski na cześć „Sokolstwa"; dr Wojciechowski pił na zdrowie „Sokolic"; dyr. M. Dąbrowski, toastował na cześć uczestników walki o niepodległość, imieniem których od powiedział sędziwy druh p. S. Piasecki, wznosząc zdrowie wydziału „Sokoła".

Na oba toasty chór dwunastki pod kierunkiem p. Budzynowskiego (młodszego) odpowiedział „pieśnią Legjonów". Ostatni toast „Kochajmy się" w barwnem i serdecznem przemówieniu prezes Turski.

Po uczcie iświetlono olbrzymią choinkę, a chór zaśpiewał kolędę „Gdy się Chrystus rodzi."

Podczas śpiewu i muzyki własnej orkiestry odbyła się loterja, w której rozgrywały się fanty gwiazdkowe.

Pogawędka i wspólna zabawa przeciągnęła się do północy.

Chór akademicki. Na odbytem walnem zgromadzeniu członków „Chóru akademickiego" w dniu 3 go b. m. w skład nowego wydziału zostali powołani przez (wybór) głosowanie: jako prezes: Tadeusz Łakosiński, słuchacz medyc.; wiceprz.: Adam Kazimierz Kaznowski, sł. filoz.; sekretarz: Franciszek Długopolski, sł. praw.; wicesekr.: Zygmunt Wodecki, sł. praw.; skarbnik: Józef Kajetan Chlipalski, sł. praw.; wicesk.: Jan Gademski, sł. praw.; bibljotekarz: Kazimierz Niżyński, sł. praw.; wicebil.: Piotr Kosiński, sł. fil. Do komisji szkontrującej: Jan Zęba, sł. fil.; Józef Bielecki, sł. praw. Dnia 10 b. m. na I-szem zwyczajnem posiedzeniu wydziału nastąpiło formalne objęcie urzędowania przez nowy wydziat.

Otwarcie herbaciarni w domu gminnym przy ulicy św. Marka l. 21 na I piętrze odbyło się we wtorek dnia 23 b. m. o godzinie 11 przed południem wobec reprezentantów Rady miejskiej ks. dra Juljana Bukowskiego, dra Pareńskiego, prof Bujwida i dra Lustgartena, tudzież wobec prezesa Tow. dobroczynności p. Biesiadeckiego, przewodniczących obwodowych miejskiego biura ubogich pp. Karola Drozdowskiego i Józefa Schneidra, dyr. budownictwa miejskiego p. Wdowiszewskiego, kierownika miejskiego biura ubogich p. Banasia, p. dra Zofji Daszyńskiej-Golińskiej i pań z Tow. „Trzeźwość", wreszcie wobec reprezentantów pism miejscowych.

Lokal, należycie odświeżony, wystrojony choinami i girlandami, po przemówieniu prezesa prof. dra Pareńskiego, poświęcił ks. prałat dr Juljan Bukowski, który następnie składał życzenia komitetowi, poczem w krótkich słowach przemawiali p. Józef Schneider jako skarbnik i pani dr Zofja Daszyńska Golińska, która dziękowała imieniem komitetu pp. Banasiowi i Schneidrowi za trudy, podjęte około urządzenia tej herbaciarni.

Sama herbaciarnia obejmuje dwa pokoje dość obszerne, z których jeden wyłącznie służy dla gości, drugi posiada odpowiednią kuchenkę z olbrzymim samowarem, stół bufetowy, szafę z prowiantami, nad nią obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, oświetlony lampą kolorową, a pod obrazem napis „Szczęść Boże".

Tuż obok herbaciarni jest osobny pokój przeznaczony na kuchnię, w której rządzi „Gdowa" z Małego Rynku. W kuchni tej gospodyni urządza we środę wigilję z opłatkiem po 10 halerzy od osoby.

Redakcja naszego pisma przyjmuje wszelkie datki na cel tak piękny, jak na herbatę i chleb dla ubogich.

Natychmiast po otwarciu herbaciarni zapełnił się lokal mnóstwem zwolenników taniej i smacznej herbaty, wśród nich sporo było młodzieży szkolnej obojej płci.

Ograniczenia godzin urzędowych na pocztach dla obsługi publiczności w dniach 25 i 26 grudnia 1902 r., tudzież 1 stycznia 1903.

W dniach 25 i 26 b. m. tudzież 1 stycznia 1903 mają być urzędy pocztowe otwarte dla publiczności tylko tak długo, jak w niedzielę.

Urzędy pocztowe Lwów, Kraków, Przemyśl, Stanisławów, Tarnów i Tarnopol mają być w dniach wyżej wspomnianych popołudniu zamknięte.

Rozwożenie pakietów do domów odbywać się ma w dniach 25 i 26 b. m. tudzież 1 stycznia 1903 tylko w granicach przepisanych dla niedziel.

To samo tyczy się doręczania listów w dniach 25 i 26 b. m. Natomiast należy w dniu 1 stycznia 1903 przed południem doręczać listy w miejscowościach, o ile istnieją dwie przedpołudniowe ekspedycje listonoszów w sposób zachowywany w dnie powszednie.

Roznoszenie popołudniowe zastanawia się więc w tym dniu.

Kalendarze. Pod tytułem „Niezapominajka" wyszedł kalendarzyk kieszonkowy, informacyjny zawierający również treść literacką ilustrowaną. Znajdujemy tam między innemi artykuliki na czasie z portrecikami sympatycznych dla nas osobistości jako to: prof. Beckera rzecznoznawcę w sprawie sporu o Morskie Oko, Eksel. Tchórznickiego członka sądu rozjemczego, dalej portrecik p. Gadzińskiej i jej obrońców w procesie wrzesińskim, portrety: pobratymca naszego ś. p. Horzicy b. posła do Rady państwa i Wacława Klofacza, tudzież „wybranego największą ilością głosów" członka krakowskiej Rady miejskiej K. Bartoszewicza. Strona typograficzna „Niezapominajki" wzorowa. Kalendarzyk ten może liczyć na powodzenie.

Opuścił również prasę **„Kalendarz kartkowy"** urozmaicony zgrabnemi rysunkami i humorystyką. Atrakcją tego kalendarza jest szereg wierszowanych sylwetek osobistości znanych w kraju.

Egzamin z rachunkowości ogólnej państwowej i kupieckiej zdała w namiestnictwie we Lwowie p. Cecylja Chomiak.

Dla ubogich. Magistrat miasta Krakowa wystosował odezwę do mieszkańców miasta, wzywającą do ofiarności dla głodnych i nędzarzy, przy nadchodzących świętach Bożego Narodzenia i Nowego Roku.

Składki na ten cel przyjmować będą: Kasa miejska, pp. komisarze, oraz firmy kupieckie, gdzie nabywać można karty uwolnienia od datków noworocznych za złożeniem ofiary dowolnej wysokości.

Choinki, które już od święta Niepokalanego Poczęcia pojawiły się na Rynku głównym, utworzyły wczoraj i dziś prawdziwy las, zabielony śniegiem, okalający malowniczo pomnik Adama Mickiewicza. Las z nastaniem zmierzchu wigilijnego zniknie — i zakupione lub niezakupione drzewa muszą do wieczora być usunięte, a jutro Rynek znowu powróci do zwykłego wyglądu.

NEKROLOGJA.

Józef Bielak, obywatel miasta Krakowa i kupiec firmy J. Górecki, przeżywszy lat 59, zmarł dn. 24 go b. m. Pogrzeb odbędzie się w piątek o godzinie 3 ej po południu z domu pod l. 5 ul. Szpitalna.

Repertuar teatru miejskiego.

We środę 24 grudnia teatr zamknięty.

We czwartek 25 grudnia: „Balladyna", tragedja w 5 aktach J. Słowackiego.

W piątek 26 grudnia o godz. wpół do 3 po południu: „Kościuszko pod Racławicami“, obraz historyczny w 7 obrazach A. W. Lasoty.

W piątek 26 grudnia o godz. 7 wieczorem: „Wilhelm Tell“, dramat w 5 akt. Fr. Szyllera.

W sobotę 27 grudnia: „Pamiętniki Szatana“, kom. w 3 akt. ze śpiewami Arago i Vermond (jubileuszowy wieczór Juljusza Jejdego).

TELEGRAMY.

Skandal na dworze saskim.

Wiedeń 24 grudnia. (Tel. wł.). Brat saskiej następczyni tronu arcyksiążę Leopold Ferdynand wyjechał do Szwajcarji z panią Adamowicz, którą zamierza poślubić. Arcyksiążę zrzekł się wszystkich tytułów i orderów.

Drezno 24 grudnia. (Tel. wł.) Arcyksiążę Leopold ujmował się podobno kilka razy za swoją siostrą a nawet znieważył czynnie swego szwagra, spotkawszy go w Salcburgu. Książę saski wyjechał wtedy do Drezna i o b i ł ż o n ę.

Wiedeń 24 grudnia. (Tel. wł.). Księżna Ludwika już dawno chciała rozwodu, ale rodzina jej nie zgodziła się na to ze względów religijnych. Księżna wyjechała w towarzystwie nauczyciela swoich dzieci, Francuza Giron. Obawiając, się, aby ją nie spotkał los księżny koburgskiej, zamkniętej dotychczas w domu zdrowia, prosiła brata o opiekę.

Księżna, która ma już 5 dzieci, jest w stanie błogosławionym i oczekuje rozwiązania za 4 miesiące.

Wiedeń 24 grudnia. (Tel. wł.) Na dworze tutejszym panuje wielkie przygnębienie z powodu ucieczki księżny saskiej i jej brata.

Wiedeń 24 grudnia. (Tel. wł.). Panna Adamowicz, która towarzyszy arcyksięciu Leopoldowi jest 25-letnią córką urzędnika pocztowego z Berna morawskiego. Stosunek jej z arcyksięciem trwa od lat 6. Arcyksiążę kupił dla niej willę na Währingu pod Wiedniem, gdzie bardzo często ją odwiedzał.

Bracia młodsi arcyksięcia wiedzieli o tym stosunku. Dopiero przed rokiem, panna Adamowicz na rozkaz cesarza musiała sprzedać willę i wyjechać do Strasburga.

Wiedeń 24 grudnia. (Tel. wł.). Akt zrzeczenia się arcyksięcia jego praw członka rodziny cesarskiej będzie wkrótce ogłoszony. Jest on zredagowany w f o r m i e n a d z w y c z a j o s t r e j.

Drezno 24 grudnia. (Tel. wł.). Utrzymują tu powszechnie, że ojcem dziecka księżnej Ludwiki, które w maju przyjdzie na świat, j e s t n i e j e j m ą ż, a l e F r a n c u z G i r o n, n a u c z y c i e l e j d z i e c i.

Księżna była bardzo wesoła i romantyczna. Przed Gironem kochała się w jakimś amerykańskim dentyście i flirtowała z różnymi oficerami załogi drezdeńskiej. Z tego powodu przychodziło do gwałtownych zajść pomiędzy nią a mężem.

Humbertowa Dreyfusistką.

Paryż 24 grudnia. Tutejsze pisma opozycyjne donoszą zgodnie, że na tle sprawy Humbertów j e s t i n t r y g a ż y d o w s k a. Humbertowa była zaciętą dreyfusistką i w latach 1894 i 94 interwenjowała na rzecz Dreyfusa u wielu radykalnych polityków.

Mianowania.

Lwów 23 grudnia. Rada szkolna krajowa zamianowała Stanisława Bełzowskiego zastępcą nauczyciela gimnazjum św. Anny w Krakowie i Helenę Sikorską nauczycielką 1-kl. szkoły w Milczy.

Ministerstwo oświaty nadało Stanisławowi Szarkowi, nauczycielowi kierującemu 2-kl. szkoły w Dąbiu w okręgu krakowskim zamiejskim, w uznaniu jego wydatnej działalności w zawodzie nauczycielskim, zwłaszcza jako kierownika dopełniającej szkoły ogrodniczo sadowniczej, połączonej z tą szkołą, tytuł dyrektora.

Organizacja na Rusi.

Lwów 23 grudnia. („Słowo Polskie“). W Stanisławowie odbyło się zgromadzenie w sprawie organizacji powiatowej i obrony interesów narodowych. Przewodniczył zebraniu marszałek powiatowy Cieński. Pos. Kozłowski w dłuższem przemówieniu wyjaśnił na tem zgromadzeniu organizację i zadanie komitetu centralnego, odpierając pojawiające się przeciw niemu zarzuty.

W zgromadzeniu wzięło także udział 20-stu włościan

Nowa linja kolejowa.

Janów koło Lwowa 23 grudnia. Dzisiaj rozpoczęto w obecności członków Rady nadzorczej kolei Lwów-Janów i zaproszonych gości miejscowych, budowę linji do Jaworowa.

Echa katastrofy.

Nowy Margelan 23 grudnia. W Andidżanie i okolicach spustoszenie przerażające.

Aschabad 23 grudnia. Z powodu zupełnego zburzenia miejskich gmachów stacyjnych w Andidżanie, dla przybywających na tę stację podróżnych brak pomieszczenia i żywności. Główny naczelnik kraju wyjechał z Andidżanu do Taszkentu.

Aschabad 23 grudnia. Straty kolei z powodu trzęsienia ziemi w Andidżanie nieznaczne. Rozkopywania budynków stacyjnych jeszcze nie rozpoczęto. Służbę rozmieszczono w wagonach, chorych i poszwankowanych odesłano do Margelanu. Wyjazd z Andidżanu do dnia 23 bezpłatny. Pociągi przepełniają mieszkańcy uciekający. — Trzęsienie gruntu trwa dalej.

Kokanda 23 grudnia. Dla dotkniętych skutkiem katastrofy w Andidżanie wysłano trzy transporty 150.000 placuszków, prowjant i ubranie ciepłe. Opiekę zorganizowało, przy pomocy administracji, Towarzystwo dobroczynności w Kokandzie.

Aschabad 23 grudnia. We wsi Asaku, w powiecie andidżańskim, odnaleziono 197 osób zaduszonych.

Sprawa macedońska.

Konstantynopol 23 grudnia. W. Porta rozesłała kopję okólnika do jenerał-gubernatorów prowincji chrześcijańskich inspektorowi jeneralnemu, tudzież dowódcom wojskowym tychże prowincji. Okólnik do jenerał-gubernatorów Saloniki, Monastyru, Kosowa, Skutari i Janiny zabrania surowo wszelkich gwałtów.

W razie zakłócenia porządku publicznego osoby obwinione muszą być postawione przed sądem w ciągu dni dwudziestu.

Ceny targowe z dnia 23 grudnia.

Ceny za 100 kilogramów:

Pszenica krajowa od 16·20 do 16 80 kor., pszenica węgierska od —·— do —·—, żyto krajowe 14·20 do 15·—, żyto węgierskie od —·— do —·—. jęczmień od 12·20 do 12 60, owies z opłatą akcyzową od 13·40 do 13·80, groch od 18·— do 26·—. tatarka od 14·— do 19·—, proso od 11·— do 14·—, fasola od 14·— do 18·—, jagły od 18 — do 24 — siano od 6·40 do 7·20, słoma od 4·— do 4·40 koniczyna od 7·20 do 7·60, ziemniaki za hektolitr 3·20 do 4·—, jaja za kopę od 4·— do 4·80, masło za kilogram od 2·— do 2·20, masło za garniec od 7 30 do 8·—, spirytus na 95⁰ Tralesa za hekt. od —·— do 178·—, Okowita na 75⁰ od —·— do 138·— Kukurudza za 100 klgr. od —·— do 14 80 Kapusty świeżej w głowach za kopę od —·— do —·—. Wyka za 100 klgr. od —·— do —·—. Koniczyna nasienna za 100 klgr. od —·— do —·—. Rzepak zimowy za 100 klgr. od —·— do —·—.

Kursy telegraficzne.

Wiedeń 23-go grudnia. (Giełda popoł.). — Godzina 3·— Marki 117·10 Renta majowa 101·30, Węg. renta koronowa 97·85, Akcje austr. zakładu kredyt. 673·—, Akcje węg 716·—, Akcje Anglobanku 268·—, Akcje Uniobanku 531·— Akcje Länderbanku 395·—, Akcje kolei państ. 677·— Lombardy —·—, Akcje fabryki broni 298·—, Akcje tytoniowe 335·—, Akcje Alpiny 368·50 Losy tureckie 111·50, Ruble 252 75.

Cukier (słaby) 21·90, spirytus (słabszy) 35 80, nafta niezmieniona.

Berlin 23-go grudnia. (Giełda wieczorna). Austryackie Akcje kredytowe 211·75, Towarzystwo dyskontowe 189·25

N A D E S Ł A N E.

Rubryka „Nadesłane“ nie pochodzi od Redakcji, która też nie bierze za nią odpowiedzialności.

Ruch pociągów
c. k. kolei Państwowej i c. k. kolei Północnej
na stacji Kraków
ważny od dnia 1-go maja 1902 roku
według czasu środkowo-europejskiego.

Odchodzą z Krakowa:

W stronę Lwowa.
pospieszny o godz. **6·40** r.
osobowy o godzin. **8.10** r.
osobowy o godzin. **11** rano
błyskawiczny o g. **2·49** pp.
pospieszny o godz. **8·38** w.
osobowy o godz. **9** wiecz.
osobowy o g. **10·55** wiecz.

Do Oświęcimia
osobowy o godzin. **4·33** r.
osobowy o godz. **1·15** pop.
osobowy o godz. **7·55** wiecz.

Do Tarnowa i Stróż
osobowy o godzin. **6·15** w.

Do Wieliczki
osobowy o godz. **8 30** rano

osobowy o g. **1·30** w poł.
osobowy o godz. **9·30** wiecz.

Do Nowego Sącza
osobowy o godz. **9·05** rano
osobowy o god. **7·55** wiecz.
osobowy o godz. **11·40** w.

Do Wiednia
osobowy o godz. **5·32** rano
pospieszny o godz. **7·25** r.
błyskawiczny o g. **2·31** pp.
osobowy o godz. **2** po poł.
pospieszny o godz. **10** w.

Do Warszawy
osobowy o godz. **5·32** rano
osobowy o godz. **9·20** rano
osobowy o godz. **6·40** wiec

Przychodzą do Krakowa.

Ze Lwowa.
osobowy o godz. **4.40** rano
pospieszny o g. **6·50** rano
osobowy o godz. **8·45** rano
błyskawiczny o g. **2·24** pp.
osobowy o g. **1·30** po poł.
osobowy o g. **6.25** wieczór
pospieszny o g. **9.38** wiecz.

Z Oświęcimia
osobowy o godz. **8·10** rano
osobowy o godz. **9·12** wiecz.

Z Wieliczki
mięszany o godz. **7·30** rano
osobowy o god. **11·40** rano
mięszany o godz. **6·50** w.

Z Nowego Sącza
osobowy o godz. **6·05** rano
osobowy o godzin. **4·47** w.
osobowy o godz. **11·05** w.

Z Wiednia
pospieszny o g. **6·06** rano
osobowy o godz. **9·45** rano
błyskawiczny o g. **2·34** pp.
pospieszny o g. **8·45** wiecz.
osobowy o godz. **10·10** w.

Z Warszawy
osobowy o godz. **9·45** rano
osobowy o godz. **5·08** pop.
(także z Lundenburga).

W niedzielę 28 grudnia o godz. 3 po południu: „Wesele“, St. Wyspiańskiego po raz 44.

W Niedzielę 28 grudnia o godz. 7 wieczorem: „Pamiętniki Szatana“, kom. w 3 akt. ze śpiewami Arago i Vermond.

L. 801/902 prez.

KONKURS.

W myśl uchwały Rady miasta Krakowa z dnia 4 grudnia br. ogłasza się niniejszem konkurs **na posadę lekarza miejskiego** w IX klasie rangi z płacą roczną w kwocie 2000 koron, dodatkiem kwaterowym w rocznej kwocie kwocie 600 koron, oraz prawem do dwóch pięcioleci po 200 koron.

Kandydaci zamierzający ubiegać się o tę posadę winni wnieść podania do Prezydyum Magistratu i wykazać:

1) że nie przekroczyli 40 go roku życia,
2) że prowadzili dotąd życie nieposzlakowane,
3) że złożyli egzamin fizykacki wymagany rozporządzeniem c. k. Ministerstwa spraw wewn. z dnia 21 marca 1873 r., L. 37, Dz. u. p.,
4) że odbyli przynajmniej dwuletnią praktykę szpitalną i wyjaśnić czy i w jakim stopniu są z którymkolwiek urzędnikiem miejskim spokrewnieni lub spowinowaceni, oraz podać krótki przebieg życia.

Termin do wnoszenia podań wyznacza się do 15 stycznia 1903 r.

Magistrat stoł. król. miasta Krakowa,

dnia 15 grudnia 1902 roku.

J. FRIEDLEIN

Prezydent miasta.

6291 3 3

Sklep towarów mieszanych

wraz ze składem nafty i sprzedażą wina butelkowego. wódek i piwa, jest z powodu wyjazdu zaraz do sprzedania. Obliczenie według faktur. Adres wskaże Adm. „Głosu Narodu". 6320 1 3

KAWALER

lat 26, urzędnik poważnej instytucyi w Krakowie, z pensyą 1600 kor., pragnie zawiązać w celu matrymonialnym korespondencyę z panną w wieku do 22 lat, przystojną, z dobrego domu. Posag nie konieczny. Fotografia pożądana. Korespondencya pod „A. B. 101" główna poczta Kraków, za okazaniem kwitu inseratowego. 6246 3 3

CHŁOPCZYK

2-letni, ładny, blondynek zdrowy, sierota, intel. rodziców, oddany będzie na płatne wychowanie uczciwemu, bezdzietnemu małżeństwu. — Adoptacya możliwa. Zgłoszenia: J. Karnot p. rest. Kraków. 6294 2 3

Dobra sposobność!

Kto chce **ubranie modne** trwałe i tanie, niech zamówi u Zygmunta Chilli krawca w Krakowie, Wielopole L 3. przy głównej poczcie. Robi również za ugodą na raty. Wypożycza fraki i anglezy. 6298 2 20

Dwie panny

z prowincyi, inteligentne, przystojne, z posagiem 4000 i 1600 koron, poszukują na mężów **kawalerów** na stanowiskach lub podoficerów z kwalifikacyą na posady rządowe w prowincyi. Zgłoszenia pod: „**Róże**" do Administracyi „Głosu Narodu" w Krakowie. 6304 1 1

Potrzebny jest gospodarz

od Nowego Roku lub później, znający się na uprawie roli gruntownie, uczciwy i pracowity, kawaler, wdowiec lub żonaty z małą familią, mogący się wykazać chlubnemi świadectwami. Adres w Adm. „Głosu Narodu". 6305 1 3

Kupię młodą krowę

dużą, mleczną, na ocieleniu lub ocieloną. Wiadomość: J. M. ul. Szlak 33. 6306 2 3

Spólnika

z kapitałem do 2000 koron poszukuje do interesu nader rentownego. Fachowe wiadomości zbyteczne. Zgłoszenia pod: „Interes" poste restante Sokołów koło Rzeszowa. 6303 2 2

POMOCNIK

z handlu galanteryjnego, papieru i przyborów krawieckich, **poszukuje posady** od 1-go stycznia. Zgłoszenia: Czesław Tomczyński Staniątki. 6293 2 3

Ociemniały starzec

W najgłębszej pokorze ze łzami w oczach udaję się do serc litościwych, prosząc o jakiekolwiek wsparcie. Jestem od 6 lat nieuleczalnie chory na oczy co stwierdza świadectwo c. k. kliniki okulistycznej Uniwersytetu Jagiellońskiego, przeto nie jestem w stanie zarabiać na kawałek chleba i znajduję się wraz z żoną w najokropniejszej nędzy, prawie bez dachu nad głową. Ubo[illegible]ższy jestem od żebraka, gdyż jestem prawie bosy i nagi. Ja zaś swą wdzięczność okażę modlitwą zanoszoną przed tron Najwyższego Boga za moich Dobrodzieji. **Tom. Baranowski** Rajska 1.

Właścicielka i wydawczyni: Józefa Rogoszowa. Redaktor odpowiedzialny: Dr. Antoni Beaupré. W drukarni W. Korneckiego w Krakowie.
Papier z fabryki Braci Fiałkowskich w Bilsku.

Tapety

Sztukaterye i dekoracye sufitowe, Papier przeciw wilgoci, Chromodiafanie (im. szyb kolor.)
poleca w największym wyborze
FABRYCZNY SKŁAD p. t.

Z. Kutrzeba

w Krakowie ul. Wiślna 11.
WZORY na prowincyę wysyłamy odwrotnie. 5762 4 0

Zarząd pasieki A. Krainskiego

w Jezierzanach, obok Czortkowa wysyła 5908 13 15 wyborny lipcowy **miód prasny** w 5 kilowych blaszankach franko za pobraniem 7 kor. Wysyła również miody pitne odszczególnione na wystawach a to: Maliniak, Dereniak, Porzeczniak, Poziomczak, Wiszniak i Agrestniak, w 5-cio kilowych blaszankach, wszystko opłatnie za cenę 6 Kor. 20 h.

Jan Erker

Kraków, Szewska L. 3
Hurtowny i detaliczny
Skład Nafty
z Rafineryi 6128
Adama hr. Skrzyńskiego
Salonowa i Cesarska.
Rozwóz nafty w każdej ilości gratis, wysyłam na prowincyę w beczkach i balonach co wtorek i piątek.
Wielki wybór LAMP wszelkiego rodzaju.
CENA FABRYCZNA.

ODGNIOTKI

kto chce zniszczyć prędko bez bólu i niebezpieczeństwa zakażenia krwi i okaleczenia, niech żąda **Arbenza patentow. nożyka do odgniotków.** Przez lekarzy polecony, ceniony przez tych, co takowego używali. Skutek natychmiast. Cena za 1 szt. 2 kor. 50 h. Jeden wystarczy dla całej rodziny, do nabycia u p. p. nożowników, w aptekach i u fryzjerów. W większej ilości w fabryce **A. Arbenz'a w Lausannie**, Szwajcarja. 3526

Brzytwy i noże do odgniotków firmy A. Arbenz'a do nabycia w handlu broni **S. Pielecklego we Lwowie.**

Majętność Jasienica, Orzechówka i Jabłonica

sprzedaje morgami **grunta** orne, łąki i domy mieszkalne. Także tamże są dwa wodne młyny i tartak do sprzedania lub wydzierżawienia nowo zbudowana **parowa mleczarnia.** Bliższe warunki dowiedzieć się można na miejscu.
Zarząd Dóbr Jasienica
5239 3 9 via Iwonicz.

!!GŁOS ROLNICZY!!

pismo popularne, illustrowane, poświęcone wszelkim gałęziom gospodarstwa wiejskiego, wychodzi w Tarnowie 15 i ostatniego każdego miesiąca.
Artykuły krótkie, opracowane przez ludzi fachowo wykształconych, dobry papier i druk, ryciny artystycznie wykonane, przytem niska **prenumerata 4 kor. 50 h. całorocznie** — oto zalety tego pisma.
Kto zapłaci prenumeratę całoroczną do końca Stycznia, otrzyma „Illustrowany Poradnik przy wyrobie win owocowych i jagodowych" za dopłatą 10 hal. na porto.
Roczniki „Głosu rolniczego" z r. 1901 i 1902 każdy po cenie 2 k. 50 h., w ozdobnej oprawie każdy o 80 hal. drożej.
Zamówienia przekazem adresować do Administracyi „Głosu rolniczego" Tarnów, ul. Różanna Nr. 11. 5271 1 5

Wzorową Pracownię

haftów białych i kolorowych
FABRYCZNY WYROB
sukiennych serdaków, pantofli, pasków torebek, i makatek zakopiańskich — poleca
ZWIĄZEK HANDLOWO-PRZEMYSŁOWY
Zjednoczonych hafciarek w Makowie. 5941
Stowarzyszenie zarejestrowane z ograniczoną poręką.

Rynek L. 26, (obok Banku Galicyjskiego).

M. Figiel fryzyer Kraków

Wyroby z włosów! — Żurnale paryzkie!
poleca SWÓJ SALON DLA PANÓW
NOWOŚĆ! DLA PAŃ NOWOŚĆ!
Amerykański aparat nowego systemu **do mycia i suszenia włosów.**
Nowo zaangażowany specyalista fryzyer damski.
! Ondulation des cheveaux comme à Paris!
Nowości w perfumeryi francuskiej, angielskiej i krajowej.— Wszelkie przybory toaletowe. 6214 1 2

Jedyny w Galicyi
Największy Skład Kul Bilardowych
z kości słoniowej jakoteż z imitacyi, **o 10% taniej** od pozagranicznych.
Wyrób własny, wykonanie znakomite, bez konkurencyi.
Wszelkie PRZYBORY BILARDOWE jakoto: kije, skórki, kredę, nalepki i t d.
WYBOROWY SKŁAD CYGARNICZEK piankowych i bursztynowych. fajek i cybuchów, jakoteż **wszelkich wyrobów tokarskich.** 5612
JAN BAJER
Zakład i pracownia wyrobów tokarskich
Kraków, ul. Grodzka 10. (Nr. telefonu 321).
3 BILARDY mało używane są do sprzedania — podejmuje się obciągania suknem, odnawiania i reperacyi.
Stare KULE otacza i przyjmuje w zamian.

Bazar Krajowy w Krakowie

Róg Rynku Głównego i ulicy Brackiej Nr. 20,
poleca wyroby **koszykarskie krajowych** szkół zawodowych, jako to:
Meble ogrodowe z białej i kolorowej wikliny
Kosze do podróży i walizki
Kosze do miasta i do **bielizny** 6137 8 0
Kosze na papiery
Koszyczki i kufereczki na robótki IV
Wózki dla dzieci i wszelka **galanterya** koszykarska.

„Jeżeli kto kaszle w sposób rozpaczny niech tylko zażyje Pastylek Gerandel'a".
Dosyć jest raz spróbować, żeby się przekonać o skuteczności
PASTYLEK GERAUDEL'A
Nieomylnych w leczeniu Nieżytu, Kaszlu nerwowego, Zapalenia opłucnego, Chrypki, Zakatarzenia, Irytacyi piersiowej, Astmy, etc.
Niezbędnych dla osób, które zbytecznie głos utrudzają. 6028 5 18
Bardzo użyteczne dla Palących.
Pudełko zawiera 72 Pastylek i sposób zażywania takowych.
We Lwowie w aptekach pp.: Mikolascha, Wewiórskiego; — w Krakowie w aptekach pp.: Maszniewskiego, Redyka.

A. Gralewski i Sp.

w Krakowie, ul. Grodzka l. 44.
Hurtowny Handel i Skład Win
poleca
WINA WĘGIERSKIE z pierwszorzędnych winnic z okolic Tokaj-Hegyalia u producentów osobiście zakupowane, oraz **WINA AUSTRIACKIE, REŃSKIE, FRANCUSKIE** i inne zagraniczne, **COGNAC, odstałą ŚLIWOWICĘ smyrneńską.** — Sprzedaż na kieliszki, butelki i beczki. — Dla P. T. Kupujących za obrębem miasta Krakowa składy transitowe. 6148

MARKAO CHRONNA


Odznaczone na Wystawie krajowej w r. 1894 dyplomem honorowym c. k. Ministerstwa handlu.
Krajowe Towarzystwo tkackie
„PRZĄDKA"
W KROŚNIE
poleca Szan. P. T. Publiczności swego wyrobu czyste lniane, sławne z dobroci, ręcznie tkane
Płótna Korczyńskie
od najgrubszych do najcieńszych web
i Bieliznę stołową o wzorze kostkowym i adamaszkowym —
oraz dostarcza kompletne i najtańsze
Wyprawy Ślubne.
Zamówienia nadsyłać prosimy wprost **do Krosna,** (poczta, telegraf i stacja kolejowa w miejscu). — Próbki i cenniki na żądanie wysyłamy franco odwrotną pocztą.

Poleconą przez Tow. Lekarskie
MINERALNĄ SZTUCZNĄ WODĘ ALKALICZNĄ CZYSTĄ
na wzór wody
Giesshübler
wyrabia pod kontrolą kom. Przemysł. Tow. Lekarskiego
fabryka pod firmą **K. Rząca i Chmurski** Kraków, ul. św. Gertrudy 4.
Sprzedaż częściowa w aptekach i drogueryach. 6134

Aptekarz Thierry (Adolf) LIMITED
Prawdziwa Maść babkowa
jest najsilniejszą maścią wyciągającą, przez szybkie działanie i gruntowne oczyszczenie leczy i uśmierza bóle nawet w najdawniejszych ranach, oraz usuwa przez zmiękczenie rany nie potrzebne obce ciała różnego rodzaju, które się do niej dostały. — Pocztą opłatnie 2 słoiki 3 Kor. 50 hal.
Apotheker Thierry (Adolf) LIMITED in Pregrada bei Rohitsch-Sauerbrunn. 6001
Wystrzegać się należy naśladowań i uważać na powyższy na każdym słoiku wypalony znak ochronny i firmę.

Paryż 1900 Najwyższa nagroda Grand Prix

Najpożyteczniejszym podarkiem na Gwiazdkę są
Oryginalne Singera Maszyny do Szycia
do użytku domowego.
Łatwe w użyciu. — Wielka trwałość. — Wielostronne zastosowanie. — **Bezpłatne kursa** we wszystkich technikach haftu maszynowego. — **Wielki wybór różnokolorowego jedwabiu. — Elektromotory do maszyn do szycia.**
SINGER Co. Tow. Akc. Maszyn do Szycia
w Krakowie, ulica Szpitalna L. 40, — naprzeciw teatru miejskiego.
FILIE: w Tarnowie, ul. Krakowska 4/5, w Nowym Sączu, ul. Jagiellońska. 6132
Cieszyn 1902. Srebrny Państwowy medal.— I-sza państwowa nagroda.
Uwaga! Wszelkie maszyny do szycia, sprzedawane pod nazwą „Singera" w innych składach, są wyrabiane na sposób jednego z naszych dawniejszych systemów—maszyny te nie mają atoli nic wspólnego z naszymi wyrobami, nie dorównują one ani pod względem konstrukcyi, działalności, jak i trwałości najnowsz. systemu naszych familijnych maszyn.
Wels (Górna Austrya) 1902 r. Duży złoty medal.
Innych składów w Krakowie nie mamy!

ORYGINALNE SINGERA MASZYNY DO SZYCIA.